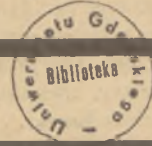


# DZIS! JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 30 stycznia 1949 r.



CIV 9013

N 4 (166)

**TREŚĆ NUMERU:** Z naszego stanowiska; Horodyński: D. — Z notatnika podróży; J. Dobraczyński: — Żebrzący prorok J. Radkowski — Czyżby nowy Tołstoj; Z. Lichniak — Problem; R. Koloniecki — Zaułki; A. Gosteki — Literatura Sowiecka; Co piszą inni; Tydzień kulturalny; J. Artemski — Wędrowki po scenach polskich; St. Podlewski — Ostatni uśmiech Starego Miasta; Film; Czytelnik uważa, że...

Stanisław Zyglicz

## SPRAWA SWIEBODZINA

O sprawie Świebodzina pisały już wszystkie pisma katolickie. O sprawie Świebodzina nie powinno się pisać. O sprawie Świebodzina trzeba pisać. Sprawa Świebodzina jest prosta. Sprawa Świebodzina jest skomplikowana. Stąd ten artykuł.

\*\*

Zacznę od bardzo długiego cytatu. Słowo Powszechnie" z dn. 16.I.49 r. pisało w artykule czołowym:

„Mówiąc o sprawie Świebodzina wystarczy ograniczyć się do przypomnienia kilku faktów.

Wojna nie ominęła dzieci i młodzieży. Pobiczno statystyki wykazują, że liczba dzieci - kalek sięga 92.000. Raporty sanatoryjne alarmują, że 30.000 dzieci grozi kalectwo z powodu gruźlicy kości. Dzieci te wymagają opieki specjalnych domów leczniczych. Brak w Polsce takich domów. Jeden stoi w Poświętnem, drugi staje w Świebodzinie. Gmach odstąpiony na ten cel Krajowej Centrali „Caritas” przez Zgromadzenie SS Boromeuszek, wymaga remontu i specjalnych prac adaptacyjnych. Rozpoczęto je w jesieni 1946 roku. W najbliższych miesiącach 250 dzieci będzie mogło znaleźć miejsce w Świebodzinie. Przeprowadzono zasadniczy remont zewnętrzny oraz wewnętrzne roboty malarskie, murarskie i ślusarsko - stolarskie, a nawet szklarskie, zaprowadzono centralne ogrzewanie i instalacje elektryczne, wyposażono część pokoi w ameblowanie. Wiele jednak trzeba jeszcze zrobić, uzupełnić, stworzyć na nowo. Windy, kuchnia, urządzenia specjalne, ambulatorium, protezownia, świetlica — wszystko to wymaga dużego jeszcze wysiłku i funduszy.

Kosztorys tych wszystkich prac jest naszą wspólną sprawą. Dzieci muszą jeść smacznie i dobrze przyrządzone potrawy, muszą chodzić czysto ubrane. To dla nas znaczy: kuchnia i pralnia — 460.000 zł. Dům w Świebodzinie ma być nie tylko zakładem leczniczym, ale zakładem leczniczo - wychowawczym. Czyli my musimy wiedzieć: sale szkolne, świetlica i sala zajęć praktycznych — 1.100.000 zł. I dalej: oświetlenie dla dzieci, a my musimy pamiętać: 556.000 zł. Dzieciom - kalekom trudno chodzić po schodach; przy łóżkach w ubikacjach, na korytarzach muszą znaleźć specjalną dla siebie poręcz, windy, wyciągi. Tłumaczymy naszą chęć pomocy na język konkretny: — 870.000 zł. Sumując te i tym podobne wydatki — 7.000.000 złotych.

To jest konkretne zadanie postawione wobec konkretnego obowiązku. Komentarze wydają się najzupełniej zbędne, apele — chyba obrażające. Żołnierz, któremu się gorąco zaleca czyszczenie karabinu, ma prawo przypuszczać, że posiadają go o karygodne niechlujstwo. Urzędnik nie karabinu w czystości jest jego najprostszym, elementarnym obowiązkiem, katolik, którego zachęcałoby się do pomocy w niesieniu ulgi cierpieniom, ma prawo sądzić, że podejrzawa się go o odstępstwo od zasad wiary katolickiej. Pomagać bliźniemu jest jego obowiązkiem. Nie chcemy nikogo obrażać „gorącym apelem”.

Jasne. I z tym żołnierzem i z tym „gorącym apelem”. Dlatego o sprawie Świebodzina nie powinno się pisać. Dlatego sprawa Świebodzina jest prosta.

Ale miałem niedawno w ręku komunikat dyrektora zakładu leczniczo - wychowawczego w Świebodzinie, dra Leśkiewicza, który stwierdza (w październiku roku ubiegłego), że po pierwsze: zakład w obecnym stanie nie może jeszcze przyjąć 250 kalek, po drugie: aby był na to przygotowany trzeba włożyć w prace adaptacyjne od 7 do 10 milionów złotych. A od czasu, gdy Zgromadzenie SS, Boromeuszek przekazało Krajowej Centrali „Caritas” posiadłość świebodzińską minęło dwa lata. Wiem, że ani kierownictwo, ani osoby najbliższe z pracami przygotowawczymi związane nie oszczędziły trudu. Jedyne przyczyną i zwolnienia i opóźnienia odbudowy było uzależnienie jej od ofiarności polskiego społeczeństwa katolickiego.

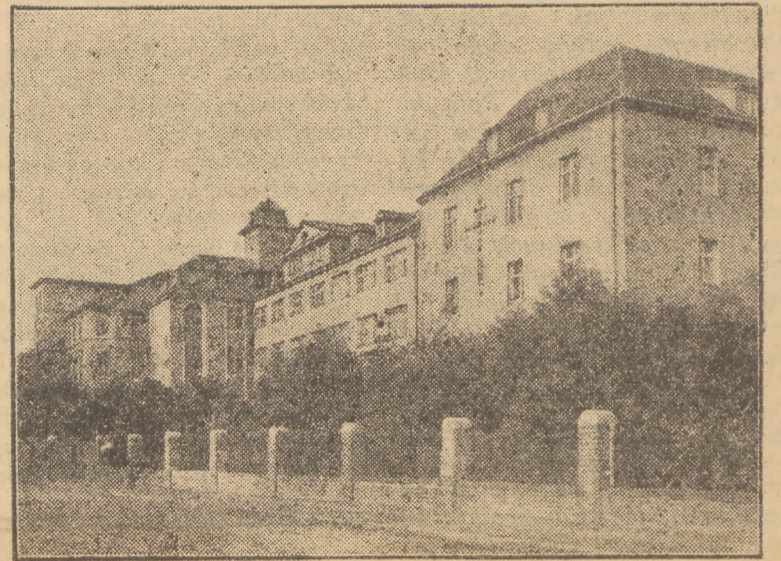
Dziwne. I z tym żołnierzem i z tym „gorącym apelem”. Dlatego o sprawie Świebodzina powinno się pisać. Dlatego sprawa Świebodzina jest skomplikowana.

Znana jest powszechnie ilość katolików w Polsce. Każdy z nich indywidualnie może śmiało zdobyć się na małą ofiarę pieniężną na cel tej ważnej sprawy. Środki te zsumowane dałyby kwotę wystarczającą na pełną realizację zadania.

Nie można wychodzić z założenia, że katolicy naszego kraju nie mogą ofiarować tej kwoty. Nie można również przyjmować, że nie chcą złożyć tej ofiary. Wykazy ofiarodawców są długie, przy nazwiskach czy kryptonimach figurują kilkucyfrowe nawet sumy darowizn. Nie w niemożności i nie w niechęci leży źródło tych smutnych paradoksów.

Paradoksy te wypływają z niewłaściwego rozumienia miłosierdzia. Mylimy je z filantropią, która jest jego najgorszym wrogiem. Wróg to tym gorszy, że podwójnie zakłamanym. Pierwsze kłamstwo filantropii polega na tym, że akcję niesienia pomocy bliźniemu zdaje się na łaskę i niełaskę sporadycznych sytuacji, szczęśliwych zbiegów okoliczności. Jeśli spotkamy żebraka na ulicy, damy mu jałmużnę, jeśli do naszych drzwi zapuka kaleka, udzielimy mu wsparcia, jeśli sierota poskarży się na dojmujący chłód, znajdziemy dla niej ciepłą sukienkę. Ale co zrobi żebrak, gdy nasza jałmużna pozostanie tylko wspomnieniem, co się stanie z sierotą, której udzieliłmy pomocy? Znowu spotka ją nasza filantropia, znowu parę groszy darowizny i pogodne „Z Bogiem”. Ta charytatywna krótkowzroczność jest tylko ucieczką od odpowiedzialności społecznej za los innych, jest tylko wykpiwaniem się wobec postulatów miłości bliźniego. I filantropia okłamuje się dla własnej wygody, wymiguje się od większych ciężarów. Ale nie to jej zakłamanie jest najistotniejsze. Drugie sęga znacznie głębiej i gorsze moralnie skutki wywołuje. Filantropia zachwyca się sama sobą. Dała sukienkę ubogiemu dziecku i rozczuła się nad własną szlachetnością. Udzieliła wsparcia biednemu i rozkłiwiła się swoim dobrym sercem. Minęły już, co prawda, czasy, kiedy filantropia, skromnie niby i niby oszczędnie ubrana kwestowała akurat tam, gdzie znajomi mogli podziwiać jej wielkoduszność, gdzie bliźni mógł widzieć, jaka ona szlachetna, jak ona nie szczędzi swego czasu i trudu, aby innym pomagać. Ale nie minęły czasy wewnętrzne go zakłamania, kiedy pomoc charytatywną uważamy w samych sobie za akt heroizmu, za wyczyn orderu godny, za wyróżnienie, jeśli już nie na ogólną uwagę, to na wielki szacunek dla samego siebie zasługujące. I jedno i drugie kłamstwo jest groźne dla pojęcia miłosierdzia chrześcijańskiego, bo godzi w jego najgłębszą istotę.

Miłosierdzie nie czeka na okazję niesienia pomocy bliźniemu, nie czeka na spotkanie z żebrakiem, na jak prośzalnej babki u drzwi, miłosierdzie szuka bliźniego, który potrzebuje pomocy. Szukanie nie trudne. Ale znalezienie ubogiego to nie jednorazowa pomoc, to nie datek, który niczego nie rozstrzyga, to próba rozwiązania problemu, rozwiązania



Świebodzin.

możliwie pełnego, możliwie ostatecznego. A rozwiązywanie takiego problemu, to nie pożywka dla tanich rektliwień nad własną dobrocią, to nie pokaz szlachetnego serca; wielkoduszności, to szukanie spokoju, jakiej daje poczucie spełnionego obowiązku. Bez przymiotników! Ani wielkiego, ani szlachetnego, ani pięknego. Po prostu: obowiązku katolika, obowiązku chrześcijanina.

Różnica między filantropią a miłosierdziem jest bardzo zasadnicza, bardzo istotna. Sęga ona i oddziaływanie nie tylko wewnątrz nas, ma wpływ nie tylko na wartość naszych pobudek, na poziom etyczny naszych czynów, ale wpływa także na ich trwałość, skuteczność, na ich zasięg społeczny. Dopóki jakaś zespółowość będzie liczyła jedynie na filantropię, jako punkt wyjściowy przeciwdziałania złu, dopóty będzie gubiła swoje akcje w mętniactwie i paliła się słomianym ogniem. Sporadyczność i snobizm pobudek filantropii nie może stanowić podstaw katolickiej działalności charytatywnej. Oprzeć się ona może tylko na mocnych podstawach głęboko rozumianego miłosierdzia. I wtedy sprawa Świebodzina i Świebodzinów będzie już tylko problemem organizacyjnym.

Bez obawy o hipotetyczny charakter założeń można przyjąć twierdzenie, że każdy katolik w Polsce współczesnej jest w stanie złożyć na Świebodzin pewną sumę. Dałoby to poważny fundusz. Dlaczego funduszu tego nie udało się zebrać? Jedna nasuwa się odpowiedź: nieumiejętność technicznego zorganizowania zbiórki. Zarzut ten godzi nie w „Caritas”, który zrobił wszystko, aby sprawa była wiadoma o-

gółowi katolickiemu, ale właśnie w ów ogół. Ze nie znalazło się w nim dosyć sprężystości wewnętrznej, która przeprowadziłaby akcję zbiórkową, to właśnie dowód na zbyt niskie wśród mas katolickich uświadomienie opowiadku miłosierdzia. Ktoś musiał zacząć, oglądano się, czekano i — ofiary, masowe ofiary, stanowiące podstawę tego typu akcji, nie wpływały. To objaw symptomatyczny. Konkretny Świebodzin jest konkretnym przykładem.

I wzywa do konkretnej korekty. Jeszcze nie jest za późno, chociaż jest późno. Świebodziny czekają. Musimy im przyjść z pomocą, musimy je budować, rozbudowywać, chronić. Kto zacznie? Na pewno nie ten, kto będzie się oglądał na drugiego. Sprawa jest konkretna. Adres jest konkretny: Warszawa — ul. Nowogrodzka 49, Krajowa Centrala „Caritas”. Wysuwam konkretny projekt.

Stowarzyszenia katolickie, oprócz pracy nad życiem wewnętrznym — mogłyby zabrać się do konkretnej roboty, która najważniejsza z postulatów życia wewnętrznego będzie realizowała w rzetelnej chrześcijańskiej praktyce. Niech onj zaczynają. Niech zaczynają z nimi wszyscy ci, którzy w egzaminie świebodzińskim mogą ujrzeć egzamin dojrzałości katolickiej. Zadanie uruchomienia zakładu świebodzińskiego zostało postawione przez katolików. Interesuje ono bez wątpienia także całą pozostałą niekatolicką część naszego społeczeństwa. Jest po prostu sprawą ogólnonarodową. Tym niemniej jeśli już inicjatywa wyszła ze środowiska katolickiego, musimy przede wszystkim sami przez spontaniczną ofiarności, zdać egzamin w wypełnieniu ogólnospołecznego obowiązku.

Stanisław Zyglicz

Dm-59/052



Z naszego stanowiska

Dominik Horodyński

## „Nie jestem politykiem”

„Ja nie jestem politykiem, tłumaczył mi ktoś niedawno w czasie przyjacielskiej rozmowy. Polityką się nie interesuję, nie znam się na niej. Nie widzę nawet potrzeby poznawania jej tajników”.

Ze zdaniem takim czy podobnym spotykałem się tak często, że skłoniło mnie ono do dokładniejszego przestudiowania zagadnienia anty-politycznych tendencji w społeczeństwie. Problem sam przez się ciekawszy, że społeczeństwo nasze uchodziło zawsze za raczej za nadto, niż za mało upolitycznione, że każda rozmowa, czy to w mieszkaniu, czy w kawiarni, czy też w tramwaju zaczyna się i kończy przeważnie właśnie na polityce.

Rzecz oczywista, że byłoby zjawiskiem jak najbardziej szkodliwym, gdyby nagle całe społeczeństwo zaczęło brać czynny udział w polityce. Polityka, ta prawdziwa ma bardzo niewiele wspólnego z „polityką kawiarnianą”, wymaga dużej wiedzy fachowej, szerokich horyzontów intelektualnych, i wielkiego wkładu energii. Istotnie, nie każdy może i powinien być politykiem. Czy wolno jednak nie interesować się polityką.

Polityka — to społeczna umiejętność rządzenia się. Polityka — to sztuka karmienia własnego społecznego organizmu odżywkami, które zapewniają mu w całości, jak i wszystkim jednostkom w skład wchodzącym warunki rozwoju, możliwości życia, polityka to umiejętność zapobiegania kryzysom, katastrofom, grożącym narodowi z zewnątrz, czy od wewnątrz. Polityka, to sztuka przewidywania i zapobiegania — by nie zasłużyć sobie więcej na upokarzające powiedzenie „mądry Polak po szkodzie”.

Więc dla czego tyłu, nawet spośród ludzi skądinąd na wysokim poziomie umysłowym, a często i społecznym — oświadczają demonstracyjnie, że się polityką nie interesuje i interesować nie będzie?

Przede wszystkim — czy to prawda? Zdaje mi się, że nie. Ci sami ludzie, którzy tak twierdzą, potrafią godzinami rozmawiać o polityce, byle tylko w gronie ludzi niekompetentnych. Tam bowiem „politykowanie” wyprane jest z rygorów koniecznej erudycji społecznej, pozbawione jest wszelkich, niezawisze zresztą przyjemnych, konkretnych, a staje się polem działalności własnej fantazji, w której wolno marzyć o dobrobycie bez wyrzeczeń, o tym co by było, gdyby było na świecie jak w bajce o kopcuszkę.

Są inni, którzy się nie interesują polityką — w Polsce. Interesują się natomiast, i to bardzo — polityką na świecie. W gazetach czytają tylko depesze z zagranicy, wiszą przy radiu, słuchając wszystkie obce radiostacje nadające w języku polskim. W gronie przyjaciół, przy mapie świata snują najfantastyczniejsze domysły co do przyszłości. Jednego tylko nie rozumieją — jaki może mieć związek polityka wewnętrzna z rzeczywistą sytuacją polityczną na całym świecie. Nie rozu-

Z notatnika podróży<sup>(4)</sup>

Rozmawiałem dziś parę godzin z jednym z czołowych intelektualistów katolickich Anglii. Od przyjazdu do odbyłem już z dziesięć rozmów z działaczami katolickimi i pomału zarysowuje mi się obraz katolicyzmu angielskiego. Oczywiście jest to obraz szkicowy, niepełny i z konieczności dziennikarski.

Katolików angielskich nie ominął charakteryzujący naszą epokę kryzys ideologiczny. Istota katolicyzmu jest zawsze i wszędzie jedna i niezmienna, niepodlegająca żadnym kryzysom, natomiast zmianom ulega społeczna i polityczna postawa katolików. Jeśli w społeczności tak zwanej, jak społeczność katolicka zaczynają pojawiać się zasadnicze różnice społeczno-polityczne, zasadnicze różnice w ocenie kierunku rozwoju historii, to fakt ten musimy określić mianem kryzysu. W wypadku angielskim o tyle kryzys ten jest ciekawy, że katolicyzm angielski obejmujący tylko niewielką część Brytyjczyków i przez wieki zwalozana przez państwo i kościół anglikański, odznacza się szczególną zwartością i dyscypliną. Muszę przyznać, że nie orientuję się dostatecznie w różnicach dzielących różne kościoły chrześcijańskie w Anglii, sądzę natomiast, że mogę spokojnie napisać o zupełnym zaniku charakteru religijnego tych kościołów. Rozkład życia duchowego i indyferentyzm członków, likwiduje funkcję religijną przeróżnych kościo-

mieją, i nie chcą rozumieć, więc wolą o „polityce” nie mówić.

U podstaw braku zainteresowania rzeczywistością polityczną i jej konsekwencjami leży chęć ucieczki od konkretności, od faktów, chęć budowania sobie świata urojonych a przyjemnych złudzeń. Chęć stworzenia sobie z życia cichej i wygodnej synekury.

Istnieje jeszcze jedno zjawisko charakterystyczne, zwłaszcza w środowiskach intelektualnych, wśród tych właśnie, które poziomem wiedzy i wyrobienia osobistego winny społeczeństwu przodować. Nazywa się ono ucieczką przed odpowiedzialnością. Poczucie wewnętrznej, osobistej odpowiedzialności za losy narodu, za rozwiązywanie problemów społecznych, za rzeczywistą kulturę, to wszystko musi dziś prowadzić do mocowania się ze wszystkimi sprzecznościami, do porania się z konfliktami bynajmniej nie prostymi i łatwymi do rozstrzygnięcia. To burzy spokój, to czasem nawet naraża tak zwaną „dobrą opinię”. Więc zastępuje się te problemy wielkimi frazesami jak ludzkość, prawdy bezwzględne. Moralność i Człowiek, pisane z dużej litery. Oslaniając się tymi wielkimi pojęciami, jak tarczą, nie patrzy się już na człowieka, na społeczeństwo, nie myśli się już o moralności, której trzeba bronić i realizować w życiu, wszystko pisane małą, codzienną literą. Dla tego odrzuca się politykę.

Dla tego też my domagamy się od każdego uczciwego człowieka jego osobistego wkładu pracy i zainteresowania w to co stanowi treść polityki — w teraźniejszość i przyszłość własnego narodu.

Alfa.

tów protestanckich, sprowadzając je do roli jeszcze jednej organizacji społecznej o celach umoralniających. Kościół katolicki staje się w Anglii jedyną oazą życia religijnego. Na 48 mil. mieszkańców Anglii, Szkocji i Walii katolików jest 4 miliony; czyli nie całe dziesięć procent. Przed kilkudziesięciu laty procent ten był jeszcze niższy. Natomiast rola społeczna katolików jest niewspółmiernie duża i stale wzrasta. Gdy przed pięćdziesięciu laty byli się kosztom ogromnych ofiar na wybudowanie katedry westminsterskiej, było to pogwałceniem wszystkich najświętszych tradycji angielskich. (Inna sprawa, że zbudowana z ozerwonej cegły, w bizantyjskim stylu katedra, jest architektonicznie biorąc, dokumentem niewiarogodnie złego smaku wiktoriańskiej epoki). Dzisiaj, mimo że część katolików, „szczególnie pochodzących z rodzin o tradycjach katolickich, zachowała pewien kompleks niższości i nieufności, równouprawienie jest zupełne i rola katolików w życiu angielskim bardzo duża. Np. w robotniczych związkach zawodowych katolicy i komuniści są elementem najdynamiczniejszym. W życiu kulturalnym, od Chesterona i Belloc'a poczynając, którzy jako pisarze katolicy byli jeszcze w swej generacji osamotnieni, obecnie dzięki takim talentom jak Graham Green, Evelyn Waugh i inni młodsi ludzie, literatura katolicka staje się narodową literaturą angielską.

Rozbicie ideologiczne wynikające z różnego podożemia punktów, z których się patrzy na tworzącą się historię, rozpocząła się w królestwie kontynentu europejskiego zwykłe pośród intelektualistów, od nich dopiero przechodzi w masę. Z katolikami angielskimi rzecz ma się trochę inaczej. Renomowani intelektualiści, którym nikt nie odmawia dużych zasług w pogłębieniu myśli religijnej dzisiaj zaczynają rozchodzić się z dołami katolickimi. Przewódcami i elitą tych dołów, stają się, podobnie jak w Labour Party, nie intelektualiści a działacze związków zawodowych. Intelektualiści jeżdżą do Niemiec, szukając natchnienia w Hiszpanii, piszą mądre artykuły polityczne zgodne z aktualną linią Foreign Office, ale są znacznie bardziej czytani i cenieni poza granicami Anglii (oczywiście w tej warstwie społecznej, której interesom odpowiadają i którą sami reprezentują) niż przez szerokie rzesze katolickiego odbiorcy angielskiego. Pismem grupującym elitę konserwatywnie myślących intelektualistów jest tygodnik „Tablet”. Stosunek ich do komunizmu i do zagadnienia przebudowy społecznej, przypomina świat pojęć przedwojennej warszawy posiadającej w Polsce. Ich poglądy polityczne są również wyraźnie określone. Trudno mi nie wspomnieć, jak jeden z wielkich ludzi tej grupy, uważał za stosowne zwrócić mi uwagę, że Polacy nie powinni upierać się przy zachowaniu Ziemi Odzyskanych, ponieważ Polska z granicą wschodnią Bug — San a zachodnią z 1939 r. byłaby krajem o mniejszej ilości mieszkańców na kilometr kwadratowy od Niemiec, po odzyskaniu przez nich zebranych im przez Polaków ziem. W podobnie szacery sposób stawiają i inne zagadnienia, co ma te dobre strony, że wyraźnie określa stanowiska, nie pozostawiając miejsca na nieporozumienia, np. typowo polskie nieporozumienie: gdzie sąjsznik, a gdzie wróg?

Historyczną zasługą intelektualistów katolickich było przygotowanie elementów świeckich, niezależnych od hierarchii do współodpowiedzialności z klerem za charakter i rolę katolicyzmu angielskiego. Zasługa tym większa, że i dziś jeszcze — wskutek uwarunkowania szczególną sytuacją historyczną — katolicyzm angielski jest wyraźnie klerykalny. Z pewnym smutkiem myślałem o drodze intelektualistów gdy jeden z najwybitniejszych katolickich przewodców związkowych, przy mnie — ostatecznie cudzoziemcu — obdarzał ich epitetami „disgusting” i „shocking”, określając ich rolę wypychania katolików do obozu reakcji, jako katastrofalną. Inny znów, znany dziennikarz, posyłając mnie do swego przyjaciela mówił: „niech pan go koniecznie odwiedzi, to świetny człowiek, rewolucjonista, very labour very socjalist!” Zaznaczam, że nie występuję w Londynie w charakterze rozmowy ilustrującej tylko, że zagadnienia, które w ostrzejszej formie poruszają życie katolickie w Polsce, nie ominęły nawet tak zrównoważonego kraju, jak Anglia.

Poprzednik obecnego prymasa Anglii, kardynała Gryffina, kardynał Hinsley był wysokim protektorem katolickiego ruchu robotniczego. Pierwsze odrębne katolickie związki zawodowe powstały w Irlandii. Obecny związek zawodowy katolickich robotników angielskich ACTU (Association of Catholic Trade Unionists) na wszystkich szczeblach wchodzi do Trade Unionów odgrywając tam dużą rolę. ACTU nie ma oblicza wyraźnie antykomunistycznego, w sensie politycznej walki z komunistami. Postępowanie katolików polega na nauczaniu się od komunistów i na próbach przekonywania. Wielu działaczy katolickich jest członkami Labour np. na 17 katolickich posłów w parlamencie 10 jest socjalistami. ACTU stara się wypracować swój własny program społeczno-gospodarczy różniący się nieco od programu Labour, ale nie traktuje tego zagadnienia zbyt dramatycznie ani doktrynalnie.

Poważnym problemem jest w Anglii brak księży i kościołów. W Walii są okolice, gdzie jeden kościół jest oddalony od drugiego o 100 km. Niejednokrotnie jeden ksiądz musi odprawiać trzy, cztery Msze św. w niedzielę. Mimo tych trudności katolicki ruch młodzieżowy rozwija się coraz szerzej. Podzielony na szereg sekcji, męską, kobiecą, robotniczą, studencką, zawodową itd. podobnie jak ACTU do Trade Unionów, wchodzi do naczelnej organizacji młodzieży, która obejmuje całą młodzież angielską. Ciałem doradczym, z którego naukowego dorobku korzystają i związki zawodowe i ruch młodzieżowy, jest specjal-

ne kierownictwo społeczno-ekonomiczne (Social guild) w Oxford, które prowadzi własny robotniczy college.

Jak na ilość katolików, nakłady prasy są imponujące duże. Catholic Herald 100 tys., Uniwers 200 tys. Pisma te redagowane przez świeckich i niekontrolowane przez kościół są jednak klerykalne. W tak dużym ośrodku intelektualnym jak Londyn można spotkać grupki intelektualistów katolickich wolnych od klerykalizmu i reakcyjności. Znaczenie ich społeczne jest jednak nikłe, i nie sądzę, aby mogło wzrosnąć, bez konkretniejszego związania z bazą konkretną, społeczną, którą w dzisiejszej Anglii, jak i wszędzie, jest klasa robotnicza.

Katolicyzm angielski przetrwał ciężkie wieki prześladowań. Być tam katolikiem, oznacza być człowiekiem wierzącym, gotowym za swoją wiarę płacić. Młodzi i działacze mają dziś ducha optymizmu i entuzjazmu. Kontakt z nimi daje nie tylko wiarę w przyszłość katolicyzmu w Anglii, ale wzmacnia wiarę w człowieka w ogóle.

\*\*

Gdy się jest parę tygodni zagranicą, wszystkie wiadomości z Polski łapie się z największym zainteresowaniem. Nawet prasę. Dzisiaj kupiłem „Tygodnik Powszechny”, ciesząc się, że dowiem się co się u nas dzieje. Przerzuciłem kilka poważnych artykułów i nagle zauważyłem, że w Krakowie niepokoją się o drobne, towarzyskie można powiedzieć, sprawy angielskie. Czytam notatkę, w której redakcja poucza ks. Elżbietę, że jako następczyni tronu nie powinna chodzić po dansingach, bo to nie wypada. Widocznie w Krakowie musi być bardzo nudno, jeśli tylko takie są kłopoty. Osobiście nie interesowałbym się sprawą, czy ks. Elżbieta chodzi na dancing czy nie, ale ponieważ jestem w Londynie i możliwe, że ktoś z redakcji Tygodnika kiedyś moje notatki przeczyta, więc przez lojalność koleżeńską spytałem jednego ze spotkanych Anglików, jak ta sprawa wygląda. Otóż wygląda źle. Atakowanie ks. Elżbiety wygląda na solidaryzowanie się ze stanowiskiem sekciarzy, takich np. ościółki dni świętych, którzy chcieliby zamykać kina w niedzielę. Matka ks. Elżbiety jest Szkotką i Elżbieta zaatakowała szkocki kościół powszechny, protestancki, wybitnie sekciarski, rozbitny na siedemdziesiąt kilka sekt. Natomiast kard. Gryffin i katolicy stwierdzili, że „w zachowaniu tych młodych ludzi nie było nic złego”. Tak przedstawia się sprawa, która interesuje Tygodnik. A najbardziej zawiedziony jestem ja, bo myślałem, że tyle się w Polsce dzieje, a okazało się, że nie.

(D. c. n.)

W niedzielę, dnia 30.I.1948 r. o godz. 17 w Sali Parafialnej przy ulicy Łazienkowskiej 14 (dojazd trolleybusem 52) odbędzie się

Wieczór Autorski  
Zenona Skierskiego

Wstęp wolny



## Zygmunt Lichniak

## P R O B L E M

Wszyscy byli zdziwieni. Rajmund, milczący zwykle jak głaz, sam zaczął mówić i najwyraźniej zanosiło się na dłuższą gałkę, bo wyciągnął z kieszeni bryczesów bawarski cybuszek i zaczął go nabijać żółtą samosiejka lubelską. Nigdy przy nas nie palił, chociaż brą zowawę koniuszki palców i zapach nikotyny zdradzały wieloletniego amatora fajki. Dopiero dzisiaj ją wydebył. I dzisiaj też zaczął mówić. Siedzieliśmy zwartym kółkiem — nas sześciu a on sódmy — i gdy przerwał na dłuższą chwilę, nastąpił moment, w którym każdy z nas odczuł niemal fizyczne ciężar stęzłego milczenia. Każdy czuł, że lepiej się nie poruszać, aby jakiś gest czy dźwięk nie spłoszył tego, co miało być. Każdy ze strachem i lekkim gniewem słuchał świszczącego oddechu Każka, któremu nieszczęśliwy polip w wiecznie zakatarzonym nosie właśnie teraz zaczął ciężko i wyraźnie sapać. Spłoszone spojrzenia szukały w półmroku Rajmunda. Może go „wytrącił z nastroju” ten cholerny polip? Może uprzytomnił sobie, że ze szczeniakami — najstarszy z nas był dwadzieścia lat od niego młodszy — nie ma co o tamtych sprawach gadać?

Lubno uśmiechnięty uśmiechem, z którego można by zrobić i lekceważące wyduęcie warg i grymas upartego człowieka, chcącego ukryć ból zęba, wąskimi palcami ugniatał w cybuchu samosiejkę. Ugniatał długo i systematycznie. Wyjździe ze swej skorupy czy już włączył do niej z powrotem? Zacznie znowu mówić, czy już zrezygnował?

Nie zrezygnował. Z zapalną gotową do potarcia zaczął ciągnąć dalej.

— Powtarzam, konspiracja to świństwo. Może to was dziwi, ale tak jest. Okropne świństwo.

Przypalił fajkę, rozświetlając w chybliwym płomieniu nienaturalnie ściągniętą na policzkach skórę. Nikt się w tej chwili nie zastanawiał nad bezpośrednim znaczeniem słów dowódcy. Rajmund zawsze był dziwny. Wiedzieliśmy o nim bardzo mało. Jak wszystkich ludzi milezących otaczała go aura niedopowiedzeń i zagadki, a w oddziale, któremu przewodził, miał wielki respekt. Czuliśmy w nim coś lepszego, niż rezonerstwo polityczne i głupawy drill wielu tzw. przedwojennych zawodowców. Rajmund milczaniem więcej zyskiwał sympatię i trochę rycałowego szacunku, niż tamci gadaniem. Był dziwnie bliski, choć nie udzielał się nigdy i nikomu. Jeśli psoczył teraz na konspirację, w której od trzech lat, to znaczy od początku wojny, siedzi i w której na pewno do końca wojny pozostanie, to widocznie ja-koś w nim to się tłumaczy.

— Jeszcze raz powtarzam: świństwo. W konspiracji wszyscy musimy dzisiaj tkwić. Z konieczności. Z obowiązku. Ale wszyscy — zdając sobie z tego sprawę — powinniśmy jej niecierpieć. A kochamy się w niej. Głupio. Idiotycznie. Po smarkatemu. Krótkowzrocznie. Pasjonujemy się nią jak grą. Grą w arcy-ciekawie szachy czy w arcyrzykownego pokera, ale grą dla gry. O-

szukujemy się patriotyzmem, bohaterstwem, poświęceniem. Bóg wie, czym jeszcze. Ale oszukujemy się z zapalem godnym lepszej sprawy.

Znowu — milczenie. Znowu chybotliwy płomień zapalnika w kręgu rozjaśnionych policzków. Wszyscy dziwidliśmy się wypowiedziom przed chwilą słowom. Ale każdy z nas uważał za rzecz prawie naturalną, że wypowiedział je właśnie Rajmund. Nie dlatego, żebyśmy go podejrzewali o jakąś dezercję wewnętrzną. Nie. Po prostu: musiał powiedzieć coś innego, niż tamci z politycznych kursów, pompacyjnych odpraw czy „historycznych” rozkazów. Od samego początku był inny. I teraz — gdy czekaliśmy na przybycie patrolu, złożonego z dwóch lubelskich chłopów, aby razem z nimi bocznymi drogami przejść ku szosie na jedną z najważniejszych robot — dowódca mówiący o złych stronach konspiracji, zamiast nas zaskoczyć, zainteresował i zbliżył do siebie. Dlatego chyba, że to Rajmund. Są ludzie wbrew wszystkim nieprzychylnym pozorom, nawet wbrew faktom unikający zdobyć zaufanie i sympatię. Do nich należał kapitan. Faktów świadczących przeciw niemu nie było. Wręcz przeciwnie. Ale pozorów nie brakło. Dziwny to był dowódca. Na jednym z kursów przeszkoleniowych, gdy tłumaczyłem jakimś gimnazjum, jak się obchodzić z „Visem”, wpadł Rajmund na inspekcję. Zadał kilku wyrostkom kilka zdawkowych pytań i na jedno tylko nie doznał się odpowiedzi. „Co to jest vis?” — zapytał młodego kandydata do podchorążówki. Gdy tamten zaczął mu trąk kopać zajadle o iglicy, automatycznym załadunku i specjalnym kształcie kołby, Rajmund przerwał zaganiwaną: „Ale vis, vis, nie ten w cudzysłowie i kaburze, ale ten w słowniku łacińskim! Rozumiesz, Ani pytania, ani reszta kursu, ani ja — nie rozumiałem. Dopiero, gdy usłyszałem, że vis to bardzo ciekawy rzeczownik, substantivum defectivum casibus in singulari, przypomniałem sobie, że ktoś mi mówił o przedwojennych studiach filologicznych Rajmunda. A Rajmund był wtedy wściekły. Z dziwnym wyrazem w oczach patrzył przy pożegnaniu na zdetonowanych wyrostków. — „Szczeniaki. Nieszczęśliwe szczeniaki...”. Nie rozmawiałem nic z całego zajścia, chociaż czułem coś podobnego, co przy ostatnich psoczeniach na konspirację. Czułem w Rajmundzie jakiś wewnętrzny ból, jakąś wewnętrzną walkę, która zjednywała szacunek. Pragnąłem jakichś wyjaśnień, byłam drabieżnie ciekawy tej jego w głębi ukrytej, prawdy. Łaknąłem jakichś bardziej wyczerpujących komentarzy.

Tymczasem nie zanosiło się na to. Rajmund, cofnięty w siebie, milczał. Denerwowałam się na polipa Każka, bo zduszone, męczące sapanie stało się nagle w ciszy lubelskiej leśniczówki czynnikiem natrętnym i obrzydliwym. Każek otworzył usta i oddychał przez rybo rozhyloną gębę, jakby chciał nam pokazać, że robi wszystko co może, aby zachowywać się możliwie dyskretnie i cicho. Jednak dopiero po długiej chwili Rajmund zaczął z całym kłosem innej — zdawało się — boczeki.

— Wracalem kiedyś półną nocą jednym z przedmieść Warszawy. Było grubo po godzinie policyjnej, więc zdziwiłem się, spotkawszy dwóch facetów, ciągnących na sankach jakąś pakowną skrzyneczkę. Nie miałem wiele czasu myśleć nad tym oryginalnym w pustej uliczce spotkaniem, bo jeden podskoczył ku mnie i z gnatem w reku zaczął mi nerwowo obmacywać kieszenie. Domyślałem się jakiejś głupiej roboty. Jeszcze więcej jednak zdziwiłem się, gdy poznałem w nerwowym gościu kaprała jednego z moich plutonów. Kaprał też się zdziwił. Przeproszał. Był zawstydzony i zakłopotany. Tłumaczył się. Było ciemno. Nie mógł poznać tak od razu. Na pytania odpowiadał mętnie. Wiozą broń. Udało im się zdobyć. Wiedziałem, że ich pluton jest goły, więc uchrząknąłem się ze zdobyczy. Na dalsze tłumaczenia nie było czasu. Rugnąłem ich solidnie za idiotyczną nieostrożność transportu i poszedłem do domu. Następnego dnia, na jednej z odpraw innego plutonu, zameldowano mi, że ukradziono z ich tajnej skrytki broń. Złodzieje musieli być wtajemniczeni, bo znali hasło. Sprawdziłem. Oczywiście, tamci z sankami. Thunaczyli, że jeden pluton nie ma nic, a drugi dużo, więc chcieli wyrównać szanse.

Uśmiechnął się znowu, jakby maskował ból zęba. Nagle w świetle rozjarzonej fajki zauważyłem gwałtowną zmianę w jego twarzy. Wszystkie rysy jednocześnie zesztywniały, a zmarszczka wokół ust pogłębiła się przy skurczu szczęki. Resztę znów zamazał półmrok. Każek — tknięty znów widocznie przeczcuciem — przestał sapać, otworzywszy jeszcze szerzej usta. Głos Rajmunda stwardniał, pogłębił się wyrazistej ryśował słowo w ciemności izby.

— Ale tu nie o to chodzi, że robimy błędy, że się mylimy... Nie chodzi o to, że żołnierze tej samej armii podziemnej, której jestem oficerem, zastrzelili moją żonę jako szpiega... Nie. Nie chodzi o błędy słabości umysłu, nie chodzi o niedociągnięcia techniki. Chodzi o znaczenie grubszy, o zasadniczy błąd. Chodzi o to, że gdy pokonamy w sobie te wewnętrzne głupstwa, gdy wyjdziemy przeciw Niemcom choćby w takiej potyczce, jak ta, na którą tu czekamy, zdaje się nam, że wolni jesteśmy od zarzutów gry w makabrycznego pokera, że sięgamy po najwyższe przeznaczenie, że jesteśmy w porządku wobec wszystkich nakazów lojalności narodowej, ba, patriotyzmu.

Przerwał na moment i niecierpliwie wyjął fajkę z ust.

— A na taki patriotyzm nawet siusiać nie warto!

Dłoń z fajką oparł na kolanie i przechyliwszy się ku nam, odmierzał słowa powoli, jak gdyby powtarzał wyuczoną lekcję lub dyktował komus bardzo ważny list.

— Chodzi o umiejętność walki: bez nienawiści. Albo inaczej: o umiejętność nienawidzenia zła. Zła, a nie złych ludzi. O umiejętność wierzenia w ludzi złych, jako ludzi potencjalnie dobrych. Nienawiść do wroga, a nie do wrożej idei — jest błędem. Maskujemy go patrio-

tyzmem. A to tylko zwykła, zwierzęca biologiczna obrona przed zniszczeniem. Gadanie o obronie innych, duchowych czy kulturalnych wartości przy nienawiści do innego narodu jest ordynarnym kłamstwem. Tak maskowana walka o własne życie — jest bujda, a nie czynem heroicznym. Bujdą faceta, który śpieszy na ratunek płonącego domu dla tego, że ma pod łójką ukryte dolary, a gędzi o ratowaniu dzieci, które matka zostawiła tam bez opieki.

Ciemność leśniczówki wypełniła się gorącymi słowami. Falował w nich żal i siła i coś jeszcze, co sprawiało, że i Rajmund i myśmy poczuli, że wali się między nami jakiś pomost, otwiera jakiś jar, głęboki, bolesny, nie do wyrównania. Nikt z naszej szóstki nie powiedział Rajmundowi ani słowa, ale nikt też nie wątpił, że Rajmund już wie o łączącym nas przeciw niemu zwątpieniu, o dojmującym rozczarowaniu, które kruszyło jego autorytet, naszą sympatię i szacunek. Zostawało coś z delikatnego współczucia i gorzkiej ironii niewypowiedzianych pytań. Jeszcze jeden maniak? Jeszcze jedno wielkie złudzenie, na które historia już dawno wydała wyrok śmierci? Z nagłym przestraszeniem i nieśmiałą radością odczułem, że pod ironią i gorczyzą, kryje się we mnie niewyraźna, ale dotkliwa nutka zazdrości.

Każek sapał wyraźnie i bez żenady. Wszyscy poruszyli się — niechętnie i ostentacyjnie, trzeszcząc krzesłami. W półmroku tylko Rajmund trwał nieporuszony. Czuł wzrastającą wokół niego nieprzychylność, ale nie dawał za wygraną. Mówił coś o wtórności zjawisk wspólnoty narodowej, o antynomii narodu i ludzkości, lecz nie było widocznie miejsca dla tych słów w leśniczówce lubelskiej. Drażniły i niepokoiły obcością. Nasze milczenie było próżnią, w której nie mogły się utrzymać, nie mogły ożyć, umierały. Cały nasz sześciuosobowy oddział przetrząsała dziwna przykrość, coś w rodzaju zażenowania, wstydu za strzelca, który uchodził za mistrza, a zamast w centrum tarczy, wpakował kulę w płuć. I to uczucie nie przygłuszało jednak ukrytej struny zazdrości, którą jakby znowu ktoś palcem potrącił.

Rajmund przechylił w tył głowę i patrząc w sufit, a może półleżąc z zamkniętymi oczyma, zaczął mówić o rzeczach pozornie odległych.

— Dwanaście lat temu wyjeżdżałem z Heidelberga do Polski. Wracalem jako świeżo upieczony doktor filologii klasycznej. Zegnał mnie i do granicy niemal odprowadził Herman Wund. Razem ze mną skończył studia. Razem ze mną je zaczął. Niemiec. W paszporcie pewnie miał napisane ślicznie gotykiem: Gesicht — oval, Haar — blond, Nase — lang und schmal. Znaków szczególnych żadnych. Chyba — binokle. Tracił wzrok nad Wergiluszem, Horacym, Tacytym... Razem robiliśmy komentarz do „Germanii”. Śmieliśmy się z naiwnego generalizowania tacytowskiego „Jeszcze jeden maniak chory na szowinistyczną gorączkę podziałów” — mówił Herman. I

patrząc zmrużonymi oczami spod grubych szkieł, marszował cienki nos w uśmiechu przyjaźni. Wiem, że hitlerowcy mogli go zamordować, ale ten uśmiech zostanie. Ludzki uśmiech. A jeśli uciekł, jeśli jest gdzieś w Ameryce, czy Anglii, razem będziemy czytali Ksenofonta i razem...

Głośne sapanie Każka widocznie mu coś przypominało, bo ostrym, choć odcędzonym z gniewu głosem dokończył:

— Razem będziemy siusiali na biologiczny patriotyzm. On na niemiecki, ja na polski.

Trzeszczenie krzesel przestało być dyskretnie a sapanie Każka rośło. Rajmund, prawie głośno, wykrzyknął, dzieląc się z nami — to czuć było z bólu, jaki mu sprawiała nasza obcość — jedną z naglebszych swoich prawd.

— Tam — skrótem gestu wskazywał za siebie, ale rozumieliśmy, że chodzi o sprawy niemieckie — tam jest Herman Wund i to jest bardzo ważne. O tym trzeba pamiętać.

O tym nie można zapominać. Nie ze względu na nich. Nie. Ze względu na nas.

Każek grubiańsko wysmarkał nos w palce. Rajmund nie chciał tego zauważyć. Coś jeszcze mówił, coś tłumaczył, jakieś symbole odkrywał w owym Hermanie, ale słowa omijały nas i uciekały z leśniczówki w lubelską noc. Każdy z nas był wściekły na siebie, że nasz zewnętrzny opór kończył się na milczeniu, na trzeszczeniu krzesłami, na sapaniu Każka. Nikomu nie starczyło odwagi na słowo, na lekceważący ruch ręki. Każdy chował się w półmroku, zadawolony, że wgardliwym milczeniem może maskować niepokój, zmieszany ze smutkiem i ciągle jeszcze tlejącą iskierką zazdrości.

Uratowali sytuację chłopcy patrolu. Napełnili izbę chłodem i kłębami pary, dymiącej z odmarzających gwałtownie kożuchów. Sprawdził broń i oddział, złożony z dziewięciu osób ruszył wkrótce przez zagajniki i pola ku niedalkiej szosie. Robotę wykonaliśmy bez zarzutu. O jedenastej auto wiozące dwóch gestapowców — katów, którzy w asyście czterech czy pięciu żandarmów jechali do Treblińki ze „zleceniami specjalnymi” zostało oporzędzone czysto. Rajmundowi ani na chwilę nie drgnęła ręka, gdy siał seriami z peemu. Tylko szcękając mocniej zacisnął przegladając później papiery służbowe zabitego gestapowca. Gesicht — oval, Haar — blond, Nase — lang und schmal. Żadnych znaków szczególnych.

Rajmund milczał. Staliśmy za nim półkolem, spłoszeni, drżący jeszcze gorączką i pośpiechem ostatnich minut. Wreszcie Każek, powstrzymując sapanie, dotknął ręką jego peemu. Rajmund odwrócił się powoli w tym samym co dawniej uśmiechem bolących zębów i oddał papiery. Nachylił się jeszcze raz nad gestapowcem, później — nagle wyprostowany — odszedł od nas w głuchą i ciemną noc krokiem człowieka, który wie dokąd idzie i czego chce.

Zygmunt Lichniak

Popierajcie Katolicki Uniwersytet Lubelski



## ROMAN KOŁONIECKI

## Z A U Ł K I \*)

Zegnaj, ziemio prostoty, cichnąca jak melodia  
W powszedniej wrzawie klęsk powietrza, głodu i ognia,  
Rozmnożonych w trójnasób w wiernej swej druzynie, wojnie.

Ledwie w twój ład wnikałszy, kto twoje gniewy pojmie?  
Do ustawicznych przemian przysposobione zmysły  
W każdej przekwitłej krasie tropiły urok przyszyły;  
Całym ciałem nas wiodły dotyku błogie sekrety,  
Gdzie jeszcze trwałas ty, choć już jakoby nie ty;  
Pędem twoim gorącym dyszał eter — a teraz  
Gwiazd się najoczywistszych jak pasierbic wypierasz.

Zegnaj, ziemio wesela, ojczyzno bukoliczna!  
Któryż to raz zachodzisz. Długoż bez ciebie żyć mam?  
Jesień bezwietrzna głos mój roni, jak liść pożółkły,  
W trawach, co zbiegły spod kos. Umilkły chórem kukulki.  
U samych stóp rozpartych mglisty zaszumił odpływ,  
Z lasu wyruszył las, od wonnych żywic wilgotny —  
Tędy do dzikich barci chyłkiem wędrował niedźwiedź,  
By zaznać twej słodyczy i całą ciebie wiedzieć,  
Ciałą ciebie posiadać, o najczulsza, najzdrowsza!  
Z ramion potężnie zwartych wyrwał się nagi obszar,  
Wyglaskał lube tropy, pustkę rozesał na przelaj,  
Aż między nim i tobą inna ziemia stanęła.  
Nim szafarz wdzięków twych, Rok, ostatni epos wykończy,  
Przeklinę ziemię pogardy, uwierzę w sen wszechmogący.

Rozwiał się czad twych guseł, moce twe starte do cna!  
Świta już nowych królestw światłość gwałtowna i obca,  
Nowa piękność dojrzewa, groźniejsza i prawdziwsza,  
W chrzeście palm i oręza kanon zawity ziszcza.  
Z objąć hardej władczyni uciekle jak banita...  
Zaprasza miła samotność, niczym gospoda obfita,  
Wiatr szemrze, szepce, szeleści — tkliwy jarmarczny sennik,  
Żeby wreszcie zapomnieć, żeby choć krócej tęsknić.

Wszędzie jest wschód i zachód, wszędzie południe i północ —  
Jak w bezgwiezdnym sierocim drogę rozeznac główną?  
Jakie abysy zalega czysta i szczodra przestrzeń,  
Nie porażona dotąd żadnym tworzącym dreszczem,  
Nie przeobstwowiona nigdy żadną cierpliwą pracą,  
Jedność, w której się jeszcze kształt niczyj drążyć nie zaczął,  
Nadmiar, z którego nie czerpał oddech nawet najkrótszy,  
Pełnia tak zasklepiona, że głos jej nie śmie naruszyć,  
Harmonia, co jak muzyka ścieśniona trwa w interwale,  
Bezwiad, w którego łonie ruch nie nabrzmięwa wcale,  
Energia świeża jak myśl, przezroczo musująca,  
Całość najdoskonalsza bez początku i końca,  
Boskość samostarczalna — najbledsza, najpierzchliwsza  
Możliwość, macierz arcydzieł, wypatrujących mistrza?  
Trafić tam skrajem nadziei, zwolna przywykać samotnie  
Do żyznego żywiołu, póki się kiedyś nie ocknie!

Włodarz tysięcy obietnic, po niespodzianych łakach,  
Wśród nagłych wód wzdętych ikrą, wśród puszcz przedwczes-  
nych się błąkam;

Na darni legów skwapliwych pasożytują żale  
Wszystkich, co tędy przede mną parli zapamiętałe,  
Łaknąc na próżno spoczynku, gdzie niepodobna spocząć.  
W stęzających głębokościach odgadłem wyspę mroczną,  
Kipiącą wirami upławów, aż noc brzemienista się ślania  
Nad zwałiskami imion, niegodnych zmartwychwstania.  
Zgrzybiałych skał druidycznych szczyty się zeusząd okropność  
I w żadną radość odległą nie można stąd się cofnąć:  
W krąg warczy dno wydeptane koczowniczego piekła.

Wtem zza bram ostatecznych dźwiękla stopa twa lekka...  
Witam jak dary łaski, jak najzależsze nowiny  
Florę w rdzy rozkrzewioną, bujne skamieniełiny;  
Pociąga mnie za sobą nieosiągalność szczęśliwa,  
Krok każdy niesie wstecz, a łun przyszłości przybywa —  
To idee cwałują, to sen, potęga najpierwsza,  
Wzmaga się, gdy poczyna, rośnie, choć tylko wskrzesza!  
Każde spojrzenie jak żdźbło rozkwita w pejzaż puszasty,  
Pustynia gwiazd przeczutych manną do syta bliszczy,  
Dorodne generacje po stokroć mogą przechodzić  
Przez pauzy przemijania, zbliżone do narodzin,  
Gdyż nieśmiertelne więdźmy przedzą swą kadziel świetlną  
Z nieujarzmionych promieni, których nigdy nie przetną.

Opadnie limfa spieniona, nim w gorejącym gniewie  
Sieczką całopalenia powrócę, ziemio, do ciebie.  
Nie przyzywaj mnie tylko, brząskiem ochoczym nie kuś,  
Gdy się wynurzam dopiero z cierpkich zastoin wieków,  
Które milczą jak śmierć — ja muszę milczeć jak burza  
Nad wszystkim, com tu zastał, nad wszystkim, com tu ujrzał.  
Sen — to rajfur umarłych, on mnie pouczy najmądrzej,  
Obłędni oś otchłani, drętwy język rozwiąże.

Jak pszczoły w pryzmach bursztynu lub szyszki w słojach węgla,  
W samym jądrze bezludzia mierzwa form się wyległa:  
Skrzepy wróżebnych słów, złoza proroczych znaków,  
Antyfony na korze, kolumny mylnych rachub,  
Namiętności zbutwiałe, czyny — gemmy zastygłe,  
Westchnienia w twardych nawiasach zamknięte na dwa rygle,  
Krople krwi — stalaktyty, snopy strun w monolocie,  
Odpryski rzeźb z kamienia, nawiedzone przez życie,  
Szczątki zim niepojętych i niewymownych wiosen...  
Ledwie znad trupich sztolni oczy w górę podniosę,  
Archaiczne warstwie zagrzmia kruczając dzwonnice,  
Żeby od słońc wygasłych żarliwe żądze uwolnić,  
Spręży mięsiste przeszła wysokopienna budowa,  
Co niegdys istnieć przestała, chcąc teraz istnieć od nowa.  
Błyśnij wtedy nade mną, jak gołębica lub iskra!...

Mieszkam w zaułkach losu — w dymiących trzewiach Sfinksa;  
Wśród zwojów entodermi, w nawisach śliskiej purpury  
Drzę od parnego naporu obłej muskulatury,  
Lecz zniósę bitwę pytań, aż po odpowiedź wytrwam  
W tym domu półzwierzęcym, co gra mi jak pozytywka!  
Mój pytający automat, dziwne perpetuum mobile  
Lubi najstronksze wawozy, zna najurwistsze groble;  
Gdzie lęgnie piersią dziewiczą, gdzie lwa łapami stąpnie,  
Śmigają turnie zaprzeczeń, kłębią się morza zwiątpień.  
Bóstwa antropofagów żart się nade mną spełnił,  
W dusznym miąższu materii trwam, abstrakcyjny odjemnik,  
Goryczy warg i pąsom rusalczanego lica  
Kradnę bezpłodną jawę — oto mój błąd i różnica:

Z błękitu strzępka nikłego jak niezapominajka  
Zamczyisko Uranowe wywiodła stara bajka;  
Nieokrzesanym światłem jędrne elipsy płoną,  
Po stromych parabolach prowadzi król narzeczona,  
Gaję posepnie naga. Młodziutki wtedy czas był —  
Morza nie miały granic, lądy nie miały nazwy.  
Z kręgów planet wykuto zaręczynowy pierścień,  
Z warkoczy komet utkano godowe szaty niewieście,  
Zabrakło tylko przędzy na zgrzebne suknie powszednie.  
Wtem — porywczą zawieją błękit łagodny wozdnie...  
Zszarzałe niebo wypuszcza nieprzeliczone korzenie  
I nawalniczym deszczem wrasta głęboko w ziemię.  
Aż potonęły chmury — niby dziurawe okręty —  
I ziemia wrosła lasami w zapładniający błękit.  
Plenią się dzikie gaje pokracznego potomstwa,  
W księżycowym dworzyszczu wzbiera ciemność i pomsta,  
Wreszcie runęły wrzeczadze: furkocąc jak meteory,  
Lecą z wyżyn struchlałych złe sturamienne potwory,  
Lecą, spychane gniewem stratosferycznych pieter,  
Ciała — pnie rosochate, pięściami obrośnięte!  
Tak to króla Urana synowie niespokojni  
Tartaru głąb zaludnili i księgi teogonii.  
Wicher księgi te czyta: Kronos, głodomór władzy,  
Pożera własne dzieci, tyka chropawe glazy;  
Płacze nieszczęsną matką i lutnią, która opiewa  
Nierządne panowania, okrutne bezkrólewia.

W jałowej, głuchej Azji jurna Mezopotamia  
Spiesznią zielenią raję w krąg obskoczyła Adama,  
Na kędzierzawych grzbietach miecz Archaniola jutra  
Dźwigają Fyzon, i Geon, i Tygrys, i Eufrat;  
W śródbrzoźkach drzew rozłożystych lucyferyczne biesiady  
Kipią trującym wywarem. Spi Prasamołnik błądy,  
A sen mu pulchną kobietę ukradkiem z zebra wykrusza...  
Kaukaz tłumy syk węża jękami Prometeusza,  
Grzechów już tyle co jab'ek, z węzów rodzą się sępy!  
Kudłatą czaszkę Zeusa ból jakis drąży tępy;  
Hejajstos czaszkę otworzył, niby zaklęty pałac,  
W którym czuwała z dawną w pełnym rynsztunku Pallas,  
Tak jak ją widział Fidiasz: z tarczą, w bojowym hełmie.  
O ileż jest urodziwsza, gdy hełm ów z włosów zdejmie  
I tarczę na bok odłoży i zegnje sztywne fałdy:  
Taką ją znalazł ślepy Homer, olimpijski heraldyk.  
Lecz ból zeusowy trwa... Jo w świątyni się chowa —  
Spojrzeniami Argusa tatuowana krowa;  
Macą się w zeschniętym mózgu bóstwa, ludy i kraje,  
Wieki harcują luzem, po wiosnie zima nastaje,  
Ludzie jak w modne szaty stroją się w cudze żywoty,  
Grasuje nieśmiertelność, zbrodnie uchodzą za cnoty!  
Szał znanowionych bogów zdołał poskromić Hezjod;  
Na ziemi nadal trwa chaos. Ten chaos zwie się poezją.

\*) Fragment niniejszy wyjęty jest z tomu pt. „Sen bez snów“, który ma się niebawem ukazać nakładem Wydawnictwa Wł. Baka.

Na przełomie roku 1939 i 1940 — w okresie, kiedy utwór powstał — widoczne już były w pełni dziejowe rozmiary katastrofy, jaką ostatnia wojna stanowiła. Z tym bezprzykładnym kataklizmem trzeba było stanąć oko w oko, nie było dla nikogo ucieczki, nie było ocalenia ani w samotności, ani w sztuce, ani w filozofii. Wiersz odtwarza właśnie tragiczną próbę takiej ucieczki; w świecie ducha i myśli zastaje jednak poeta takie same spustoszenia, jak w świecie realnym:



Aleksander Gosteki

## LITERATURA SOWIECKA

W okresie przed wybuchem rewolucji październikowej, od której zaczynają się nowe dzieje literatury rosyjskiej, obserwujemy walkę o prawo obywatelstwa w literaturze dwu kierunków: realizmu i symbolizmu. Nie jest to w istocie jakaś nowość, bo to samo widzimy w literaturze rosyjskiej wieku XIX, kiedy współistnieją obok siebie kierunki, z których jeden wiąże swą twórczość z życiem, a drugi estetyzujący, zamyka wizję artysty w kręgu jego przeżyć indywidualnych.

Pierwszy kierunek reprezentowany jest w tym czasie głównie przez Maksyma Gorkiego, którego przedrewolucyjne chef d'oeuvre powieściowe „Matka“ ma wszelkie cechy dzieła realistycznego.

Przedrewolucyjny rosyjski symbolizm jest produktem schyłku wieku XIX. Wypowiada on walkę literaturze „społecznej“, literaturze o pewnej problematyce ideologicznej.

Formalistyczne tendencje liryki przedrewolucyjnej kumulują i wynaturzają się w dążeniu do twórczości, w której skazano na banieję treść pojęciową poezji. Oto poeta prawdziwy powinien operować językiem pozarozumowym („zaumnyj jazyk“). Poezja rosyjska dochodzi do punktu, do którego już dawno przed nią doszedł romantyk niemiecki Novalis - Hardenberg, wyświecający z „czystej poezji“ treści intelektualne. Uważny czytelnik polskiej poezji, międzywojennej pamięta u nas próby niektórych poetów, nie zupełnie wzięte powodem, a zmierzające — za przykładem chyba rosyjskim — do zastąpienia wyobraźniowo - pojęciowej treści poetyckiej konglomeratem bezpojęciowych zdań, naładowanych ad hoc produkowanymi neologizmami.

Pisarze - realści weszli przeważnie w nurt późniejszej rewolucji, z „symbolistów“ — przeważna ich część, jak Blok („Dnunastu“, „Scytowiec“), Briusow, Biely. Ważną zdobyczą rewolucji październikowej jest zasymilowanie przez nią A. Tolstoję. Niektórzy pisarze przedrewolucyjni znaleźli się na emigracji. Wymienię tu przykładowo Dymitra Mereżkowskiego, twórcę znanej trylogii „Julian Apostata“, „Leonardo da Vinci“, „Carewicz Aleksy“ oraz ów sporej klasy intelektualistów: Mikołaja Trubeckiego i Bierdajewa.

Jak należało oczekiwać, porewolucyjna literatura rosyjska, literatura sowiecka, powiązała się z zadaniami państwa socjalistycznego. Charakterystyczne, że w pierwszym, najbliższym okresie rewolucji, walkę z kontrrewolucją, literatura ta działa głównie na gruncie liryki. Jak to bywa we wszystkich przełomowych chwiliach życia politycznego wszystkich narodów, posiadających żywą literaturę, spośród liryki na pierwsze miejsce wybija się jej rodzaj satyryczny. Takie jest bowiem prawo „socjologii literatury“. Na pierwszą chronologicznie gwiazdę tej literatury wybija się Demian Biedny.

Ratoryka polityczna, która nie jest na ogół dobrym sprzymierzeńcem poetów, znalazła stopniowo przeciwwagę w mocnym i oryginalnym akcentie wyrazowym Włodzimierza Majakowskiego, który tematyką swej poezji obejmuje różne przejawy ży-

cia, budującego swe zreby państwa socjalistycznego, nasycając lirykę obrazowością epika („Lewa marsz“, „Dobrze“, „Wł. I. Lenin“). Majakowski jest w pełnym znaczeniu tego wyrazu artystą rewolucji, który nie wahał się rzucić swego ważkiego talentu (nawet i graficznego, grafika odgrywa zresztą sporą rolę w strukturze jego wierszy) na szalę walki rewolucyjnej: pisze olbrzymie ilości wierszy agitacyjnych, które często układa w formy wyrazowe i rytmiczne poezji ludowej. Ta chyba właściwość jego twórczości — obok szerokiego, retorycznego gestu, wspartego mocną metaforyką — wpłynęła na to, że jego utwory stały się powszechną niemal własnością ogółu rosyjskiego, tworzącego formy rewolucyjnego życia w Rosji. Największym po zmarłym wcześniej Majakowskim lirykiem sowieckim jest Borys Pasternak, który socjologiczną treść swej twórczości potrafił skojarzyć z wykwinną formą, kształconą na dużej miary lirykach rosyjskiego dziewiętnastowiecznika Tiut czewie i Fecie („Siostra moja, życie“, „Tematy i wariacje“, „Porucznik Szmid“). Nieprzeciętne walory liryczne wykazał zmarłowany i wcześniej jak Majakowski zmarły Jesienin, który w krótkiej swej karierze poetyckiej zadokumentował twórcę, imponującego rzeczywistości oryginalną i samorodną obrazowością. Obok tych poetów należy wymienić dwu jeszcze celniejszych z pokolenia młodszego sowieckich poetów: Bagrickiego z „Duną o Opnansie“ (temat — walka komunistów z partyzantami atamana Machno), oraz Swietłowa z „Grenadą“. Oba te utwory są prawdziwymi dziełami sztuki literackiej i usprawiedliwiają swą popularność nawet poza granicami Związku Radzieckiego.

Wybiegliśmy nieco poza drugi okres literatury sowieckiej, przypadający na okres uspokojenia kraju po likwidacji wojny domowej. Odpowiednikiem tej fazy ewolucyjnej — również zgodnie z prawami „socjologii literatury“ — jest mniej bezpośredni, niż liryka gatunek literacki, kontemplacyjny gatunek eposu powieściowego. Było rzeczą naturalną, że treścią sowieckiego powieściopisarstwa obecnej doby stały się właśnie dramatyczne losy wojny domowej.

Zjawiają się powieści wysokiej klasy literackiej: „Czapajew“ Furmanowa, „Żelazny potok“ Sierafimowicza, „Pogrom“ Fadiejewa, „Cichy Don“ Szolochowa, powieści partyzantki Wsiewołoda Iwanowa. Zwłaszcza wielotomowa kompozycja powieściowa Szolochowa, która na tle dziejów kozackiej rodziny Mielichowow ukazała przemiany w życiu duchowym rosyjskiego ludu w okresie pierwszej wojny światowej i rewolucji październikowej, zdobyła popularność nie tylko u siebie, ale i za granicą (m. jn. i w Polsce przedwojennej). Szolochow zawdzięcza tę popularność przede wszystkim doskonałej kompozycji swego utworu i utrzymaniu w nim rzeczywistości godnego podziwu epickiego spokoju, tzw. obiektywizmu. Myślę, że nie jeden z naszych dzisiejszych powieściopisarzy mógłby się niejednego nauczył w literackiej szkole Szolochowa.

Weteran literatury rosyjskiej M. Gorki kończy na tle rzeczywistości sowieckiej swą powieść „Życie Klimy Samgina“ (1926 — 1936), w której zobrazował życie społeczeństwa rosyjskiego w okresie wżenia rewolucyjnego. Zaskrzył się poza tym jako krytyk literacki i organizator

życia kulturalnego w nowym państwie socjalistycznym.

Satyry w Rosji Sow. reprezentuje liryka Majakowskiego, jak i twórczość Ili Erenburga („Julio Jurenito“). Pisarz ostatni zdobył podczas wojny niebywałą popularność swą publicystyką wojenną, skierowaną przeciw najeźdźcom niemieckim. Jako autor reportaży wojennych znany był również Grossman (jego cykl reportaży z terenu Polski, może zainteresować również i polskiego czytelnika).

Pogłębianiu się rewolucji sowieckiej w związku z budową państwa socjalistycznego towarzyszy ciekawa eksperymentalna próba twórczości epickiej, która właściwie prze staje być twórczością literacką w tradycyjnym słowa znaczeniu, przechodząc w kształt reportażowy. Przykładem „Cement“ Gładkowa, „Czasie, naprzód“ Katajewa (o Magnitogorsku), „Poemat o toporze“ Pogodina. Obserwuje się naocześnie proces zanikania literatury pięknej, której kontury giną w masie socjologicznego tworzywa literackiego.

Reakcja przeciw wynaturzeniom literatury przysłała odgórnie już w r. 1925 ze strony władzy sowieckiej. Wtedy również zaczyna się proces

przywracania klasycznej literaturze rosyjskiej jej właściwego stanowiska w rzeczywistości socjalistycznej. Reakcja ta w latach 1932 — 1936, idąc do centralnych ośrodków dyspocyjnych kultury sowieckiej, przeciwstawia się wulgaryzacji metody socjologicznej w literaturze pięknej. Dla ścisłości dodać należy, że ta sama reakcja kieruje się przeciw drugiemu krańcowemu wynaturzeniu literatury pięknej, aktualnemu zresztą nie tylko w literaturze rosyjskiej, ale w każdej innej literaturze twórczych narodów: formalizmowi. Widać wyraźnie dążenie do utrzymania linii środkowej na drodze osiągnięcia „realizmu socjalistycznego“, który wywodzi się historycznie z tzw. „realizmu artystycznego“, będącego największym osiągnięciem literatury rosyjskiej dziewiętnastowiecznej.

Na tym gruncie powstaje powieść Szolochowa o kolchozach („Podniataja cielina“), która łączy rzetelną wizję świata rzeczywistego z właściwym poziomem techniki literackiej. W formach realizmu socjalistycznego ukazuje rzeczywistość przemysłu sowieckiego J. Ostrowski.

Nurt współczesności wypełnia re-

alistyczną twórczość sowiecką. Obok niej sięga się do przeszłości.

Sobolew pisze „Remont kapitalny“ (rola floty rosyjskiej przed pierwszą wojną światową), Katajew wydaje „Bieli się żagiel samotny“ na tle rewolucji 1905 roku w Odesie. Powstaje powieść „historyczno-literacka“: Tynianow i Nowikow piszą powieści o Puszkynie, Sztorm — o Łomonosowie, Forsz — o Radyszczewie. Do największych wyników w zakresie powieści historycznej doszedł A. Tołstoj: jego „Piotr I“ uważany jest za jedno z największych osiągnięć artystycznych literatury Rosji Sowieckiej.

Tak się przedstawia w koniecznych informacyjnych skrótach ewolucja literatury sowieckiej. Dała ona poważne osiągnięcia natury czysto literackiej. Dla człowieka, zajmującego się zawodowo sprawami literatury, sowiecka literatura piękna jest bardzo ciekawą i jedyną chyba w świecie eksperymentalną próbą typowych dla literatury zmian ewolucyjnych, podczas których obserwuje się proces utrzymania i rozwoju przez literaturę piękną swej wartości artystycznej.

Aleksander Gosteki

## Co piszą inni...

REDAGOWANY przez zespół ludowców - marksistów z J. A. Królem na czele tygodnik społeczno-literacki „Wies“, poświęca na ogół problematyce wiejskiej największe miejsce, choć nierazdo wykracza też poza zagadnienia tematycznie ze sobą związane.

W ostatnim numerze (3-182) Jan Szczepański zamieszcza obszerny artykuł o książce prof. A. Krzyżanowskiego „Chrześcijańska Moralność Polityczna“. Oceania ją jako „próbę wypracowania syntezy ze stanowiska katolickiego poglądu na świat“, dodając jednakże na końcu swego artykułu, że jest to „synteza wzniosłych przykazań chrześcijaństwa ze zdobyciami liberalizmu“. Książka prof. Krzyżanowskiego została, jak się wydaje, omówiona dotychczas tylko w dwóch pismach społ.-kult., a mianowicie w „Tygodniku Powszechnym“ przez ks. J. Piwowarczyka i w „Wsi“ przez J. Szczepańskiego. Dlatego interesujące się wydaje zestawienie obydwóch opinii.

W przedmowie do oceny J. Szczepańskiego, ks. Piwowarczyk charakteryzuje pracę prof. Krzyżanowskiego, jako odwrót od wyznawanego przez niego dotąd liberalizmu gospodarczego, dodając jednakże, iż nie brak w niej pochwały liberalizmu politycznego, który z pierwszym (tj. liberalizmem gospodarczym) ma wiele punktów etycznych. Ks. Piwowarczyk nazywa ją ponadto „dokumentem współczesnego niepokoju“ i jego przewyciężeniem, stwierdzając, że „jej wywołujące znaczenie polega na wskazaniu wyjścia z trudności. Na podkreśleniu prymatu etyki w życiu społecznym. Na zaakcentowaniu roli i teorii chrześcijańskiej etyki w historii i w dobie dzisiejszej“.

J. Szczepański formułuje na wstępie swego artykułu dwa zasadnicze zarzuty przeciw teozom prof. Krzyżanowskiego: primo — że książka jego traktuje jedynie o ideach, a nie o faktach; secundo — że jest jednostronna przez przyjęcie bez ograniczeń założenia, że idee rozwijają się samostannie, niezależnie od warunków historycznie określonego środowiska społecznego.

Przechodząc do szczegółowych wywodów, zajmuje się J. Szczepański najpierw zagadnieniem pracy prof. Krzyżanowskiego, a mianowicie: „stosunkiem moralności, pojętej jako idea działań ludzkich uważanych za dobre, do moralności pojętej jako zespół rzeczywistych działań i postępowań, oraz ściśle z tym związanym zagadnieniem, w jakim sensie możemy mówić o moralności „obowiązującej

zawsze i wszędzie“, moralności „prawdziwej“, „powszechnej“, „ponadhistorycznej“. Szczepański przeciwstawia się tłumaczeniu powstawania norm moralnych przez wiarę w Boga i nadanie Boże, tłumaczenie, które nazywa socjologicznym, opierające się na przyjęciu, że „normy moralne są zebrany doświadczeniem ludzi, zawierającym idealizację działań, które dana zbiorowość uważa za pożądane w danym czasie“. Szczepański w konsekwencji swych wywodów stwierdza, iż moralność idealna nie była nigdy moralnością rzeczywistą, ponadto zaś, że twierdzenie o moralności wiecznej jest fikcją, ponieważ zalecenia moralności chrześcijańskiej ulegały zmianom w ciągu wieków istnienia Kościoła, w zależności od jego pozycji w społeczeństwach.

J. Szczepański, wydaje się, niedostatecznie docenia rolę, jaką spełnia moralność idealna, tj. zespół norm i nakazów etycznych, w kształtowaniu się moralności rzeczywistej, tj. moralnej postawy poszczególnych ludzi i grup społecznych. Działanie normatywne tego, co Szczepański w swym artykule nazywa moralnością idealną, jest działaniem podnoszącym stale moralną postawę faktyczną.

Moralność katolicka opierająca się na wierze w Boga polega na podporządkowaniu się Jego przykazaniom. W tym się streszcza zespół norm obowiązujących niezmiennie, powszechnych i ponadhistorycznych. Te niezmiennie normy działają na ludzi, którzy: a) posiadają ułomną naturę, b) żyją w różnych każdorazowo odmiennych warunkach. Stąd też a) moralność rzeczywista nie osiąga moralności idealnej; b) różna jest postawa moralna różnych ludzi i różnych grup społecznych. Ten zespół chrześcijańskich norm etycznych kształtuje całą ludzkość, żyjącą w zasięgu cywilizacji chrześcijańskiej, poszczególne grupy społeczne i poszczególne osoby, zarówno tych, którzy wierzą w ich Boskie źródło, jak i tych, którzy temu zaprzeczają. Proces kształtowania przez nie rzeczywistego postępowania da się nie tylko subiektywnie, jak to pisze Szczepański, stwierdzić, ale istnieje obiektywnie i da się stwierdzić w kategoriach obserwacji socjologicznej.

Na dalszych szpaltach „Wsi“ spotykamy dwa interesujące artykuły, poruszające problematykę polskiej prowincji. Pierwszym z nich jest list otwarty J. A. Króla do młodych plastyków, drugim artykuł St. Cieślaka pt.: „Polska na prowincji“. Ten ostatni na podstawie pracownice ze-

stawionych materiałów statystycznych, daje ciekawą ilustrację gospodarki finansowej samorządu terytorialnego i jego związków. Natomiast list otwarty J. A. Króla dotyczy niezwykle aktualnego problemu nakłyczenia kulturalnego naszych miast prowincjonalnych.

„Wies“ prowadzi także stosunkowo obfity w wypowiedzi dział polemiczny „Polemiki“ oraz „Fakty i zdania“. Trzeba przyznać, że redakcja „Wsi“ celuje w zamieszczeniu częstych, acz rzadko kiedy przemyślnych wypadów w kierunku prasy katolickiej. I tak w omawianym przez nas numerze spotykamy dwie takie nieudane wycieczki. Pierwsza to — „Pochwała infantylizmu“ p. M. K. Jest to atak na Marię Winowską za jej artykuł pt.: „Chrześcijaństwo i dusze przyzwyczajone“ w „Tygodniku Powszechnym“. Autor notatki wykazał, że kompletnie tego artykułu nie zrozumiał. A szkoda. Artykuł Winowskiej nie jest wbrew swej interpretacji p. M. K. apoteozą infantylizmu, jest natomiast zwróceniem uwagi na grożące każdemu człowiekowi niebezpieczeństwo rutynizowania się, zatracania umiętności bezpośredniego, szczerego przeżywania.

Drugą nieudaną wycieczką jest republika p. Piotra Pigwy na artykule A. Krasieńskiego w „Dziś i Jutro“ pt.: „Przebudowa wsi“. Polemika ta jest typowym przykładem nadużycia słowa drukowanego i cierpliwości papieru. P. Pigwa nie zadał bowiem sobie, jak wygląda z treści jego wywodów, trudu dokładnego przeczytania artykułu Krasieńskiego. Najwyższy jednak czas na to, by zerwać bezpowrotnie w całej naszej prasie, a tym bardziej w publicystyce poważnej z metodą dowolnego wylądowania i układania sobie zdań z cudzego artykułu tak, że nabierają one innego sensu, po to tylko, by wnieść komus intencje, których nie posiadał, aplikować mu porcję pikantnych epitecików. I jeszcze jedno: również najwyższy już czas, aby zwracać uwagę na to przede wszystkim, co się pisze, a nie, gdzie się pisze i kto pisze. Uwagi w rodzaju — „autor o hrabiowskim nazwisku“, dykwalifikują tylko poziom kulturalny pisma, które je zamieszcza. Zresztą redaktorzy „Wsi“ wykazują dużą niekonsekwencję: gdy zamieszczamy reportaż J. Majkuta o wsi, piszą, że się sprzedał za tyżkę barszczu, gdy pisze na tematy ekonomiczne A. Krasieński, nie podoba im się zwów hrabiowskie nazwisko. Wydaje się, że redaktorzy „Wsi“ wyznają zasadę, że o wsi tylko we „Wsi“. A z tym chyba nie wszyscy się zgodzą nawet w własnym obozie.

tm.

Czytając

„SŁOWO PWSZECHNE“



# TYDZIEŃ KULTURALNY

## PIĘKNY POMYSŁ

Gorąco należy przyklasnąć projektodawcom pięknej imprezy, zapowiedzianej na Rok Chopinowski. Oto, obok IV Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina (15.IX — 15.X), odbędzie się cykl koncertów, nazwanych historycznymi. Pierwszy z nich odbędzie się już 17 marca, w rocznicę warszawskiego koncertu Chopina z r. 1830. Wykonawcami będą: orkiestra Filharmonii Stołecznej, i, jako solista, Jan Hoffmann.

26 kwietnia 1841 r. w sali Pleyela w Paryżu odbył się koncert, w którym obok Damoreau-Cinti (piano) i Ernsta (skrzypce) wziął udział Chopin. Dla upamiętnienia

tej rocznicy w tym samym dniu odbędzie się w Paryżu koncert o identycznym programie. Koncert ten transmitowany będzie przez Polskie Radio.

III-ci koncert historyczny (na pamiątkę występu Chopina u ks. Sutherland (w obecności królowej Wiktorii) w r. 1848, odbędzie się w Londynie (dla Polski transmisja), przy czym wykonawcą (program jak przed 101 laty) będzie Stanisław Szpinański.

10 czerwca 1825 r. piętnastoletni Frycek wykonał w sali Konserwatorium Warszawskiego koncert f-moll Moschelesa. W rocznicę tego występu odbędzie się IV koncert historyczny, przy czym wykonawcą będzie

uczeń Konserwatorium stołecznego.

11 sierpnia 1829 o godzinie 19 w wiedeńskim Kärntnertheater odbył się koncert Chopina. I on również będzie odtworzony w ramach koncertów historycznych (jako V-ty). W tej wiedeńskiej imprezie jako solista wystąpi Zbigniew Drzewiecki.

Cykl koncertów historycznych zamknięty zostanie w dniu 11 października, jako odtworzenie „pożegnane” koncertu Chopina w Warszawie z r. 1830.

Już po tej jednej imprezie wnioskować można, iż ze wszystkich rocznic, przypadających na rok 1949, Rok Chopinowski został przemysła-

ny najbardziej serio i skrupulatnie. Jeśli nie zawiedzie organizacja i realizacja pięknych projektów, Instytut Chopina godnie uczci pamięć genialnego kompozytora.

## PIOTR PERKOWSKI LAUREATEM

Jury dorocznej nagrody Związku Kompozytorów Polskich, przyznanej w dniu 17 stycznia, w rocznicę wyzwolenia Warszawy, w osobach: Grażyna Bacewiczówna, Jan Ekier, Alfred Gradstein, Zygmunt Mycielski, Tadeusz Szeligowski i Bolesław Woytowicz, postanowiło na mocy jednogłośnej uchwały przyznać nagrodę za rok 1949 w wysokości 250.000 zł honorowemu członkowi ZKP Piotrowi Perkowskiemu.

Jury przyjęło za podstawę swej uchwały działalność Piotra Perkowskiego na polu twórczości muzycznej oraz jego działalność społeczno-organizacyjną dla dobra polskiej kultury muzycznej, w szczególności zaś jego pełną poświęcenia, bezinteresowną i wyjątkowo owocną pracę dla dobra Związku Kompozytorów Polskich, pracę, która umocniła na długie lata pozycję Związku oraz wytyczyła zasadnicze linie rozwoju dla polskiej twórczości muzycznej.

## OTWARCIE WYSTAWY KSIĄŻKI ANGIELSKIEJ

W dniu 15 bm. w iekalu British Council otwarta została wystawa książki angielskiej. Wystawa ta, stanowiąca przegląd wydawnictw brytyjskich z okresu ostatnich 5 lat, zorganizowana została staraniem British Council oraz Związku Wydawnictw Wielkiej Brytanii.

Na wystawie reprezentowane są wszystkie działy wydawnicze, od książek dla dzieci, poprzez beletrystykę, liczne monografie z dziedziny plastyki, teatru, filmu itp. do dzieł naukowych. W oddzielnej sali mieszczą się zabytkowe egzemplarze pierwszych wydań dzieł Defoe, Sterne, Swifta, Treckera, Dickensa i in.

## SEJMIK ŚPIEWACZY

Dnia 16 bm. odbył się w Poznaniu w sali Starego Ratusza ogólnopolski zjazd śpiewactwa polskiego. Zjazd ten ma na celu omówienie dotychczasowego dorobku związków oraz ustalenie wytycznych działalności na przyszłość.

## LAUREACI M. KRAKOWA

Sąd konkursowy na posiedzeniu pod przewodnictwem prezydenta miasta H. Dobrowolskiego, przyznał nagrodę naukową m. Krakowa na rok 1949 prof. Akademii Górniczo-Hutniczej, dr. inż. Witoldowi Budrykowi za pracę „Badania nad możliwością wzbogacania krajowych rud żelaznych”.

Ponadto nagrodę m. Krakowa, w zakresie przemysłu artystycznego na rok 1949, przyznano Witoldowi Chomiczowi, prof. Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Krakowie, za wybitną działalność w dziedzinie przemysłu artystycznego. Nagrody wynoszą po 100 tys. zł.

## KONKURS NA PLANISZE DO ATLASU POLSKICH STROJÓW LUDOWYCH

Ogłoszony przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, przy ścisłej współpracy i pomocy materialnej Ministerstwa Kultury i Sztuki, konkurs na rozwiązanie graficzne barwnych plansz do Atlasu Polskich Stroju Ludowych, został rozstrzygnięty.

Decyzją sądu konkursowego I nagrodę, w wysokości 50.000 zł otrzymały Marta Koch i Wanda Manntaufel (praca zespołowa) z Warszawy, II nagrodę (40.000 zł) przyznano Jerzemu Karolakowi z Krakowa, wreszcie III nagrodę (30.000 zł) podzielono pomiędzy Stefana Plużńskiego, Władysława Gościńskiego i Anastazję Zelenay-Miszczkowską (wszyscy z Warszawy).

## PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA AKTORSKA W KRAKOWIE

Z dniem 1 bm. dotychczasowa Państwowa Szkoła Dramatyczna za licznymi zmianami — zarządzeniem Ministra Kultury i Sztuki — do rządu szkół wyższych.

Urzędowa jej nazwa brzmi od teraz Państwowa Wyższa Szkoła Aktorska.

Okres nauki w obecnej Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej trwać będzie 4 lata, a wstępować do niej mogą absolwenci liceum z egzaminem dojrzałości.

## Wędrowki po scenach polskich

### Od Pigmaliona do Przełęckiego

Sztuka Williamsa „Zieleni się zboże”) wywołuje dziwne skojarzenia. Przypominają się kolejno G. B. Shaw, Cronin, Dickens i... Zeromski. I każde z tych podobieństw to temat do oddzielnych rozważań.

Wyłowienie przez miss Moffat z rzęsy dzieci górniczych w zapadłej osadzie walijskiej Evansa, bezkształtnej masy kamienia, z której nie tyle umiętność ile wola, a nawet, pełen właściwych sobie niebezpieczeństw i nieporadności, fanatyzm wykuwa studenta uniwersytetu w Oxfordzie, to wypisz, wymaluj w założeniu mitologiczny a w wykonaniu podobny do Shawowskiego — Pygmalion.

Wspomniałem o niebezpieczeństwie kryjącym się we wszelkim działaniu odcierającym się choćby tylko o fanatyzm. Nie zbyt daleko od fanatyzmu znajduje się wysiłek miss Moffat włożony w edukację Evansa. I właśnie owo fanatyczne zażalenie sprawia, iż rzeźbiarz nie dostrzega momentu kiedy w wyłaniające się z kamienia kontury czło-wieka wstępuje buntująca się przeciw kształtującej woli — indywidualności. Wiele z tego tytułu kłopotów wynikać zarówno dla nauczycielki, jak i dla ucznia, w którego technięto świadomość swego człowieczeństwa. Kłopoty te widać będą w życiu obojga, aż do takich paradoksalnych sytuacji, że miss Moffat, uosobnienie niewyżytej kobiecości, w podzięk za swój wysiłek otrzyma... dziecko Evansa przypadkowo spłodzone z głupią samicyką Bessy. Tło bardzo poprawnie napisanej sztuki i jej, nazwijmy tak pewne wspólne cechy wielu charakterów ludzkich, klimatem bardzo przypomina powieści Cronina. Zwiastują „Gwiazdy patrzą na nas”. Dziwne. Może to już jest sprawa czysto indywidualna, ale same tytuły wywołują pewne analogie.

W tej liście podobieństw pojawia się z kolei nazwisko Dickens'a.

Mylący się jednak ten kto by przypuszczał, iż istnieją cechy podobne między takim na przykład Tackletonem ze „Świerszcza” z Dziedzicem w sztuce „Williamsa”. Być może, iż w założeniach autora leżało, by Dziedzic, który stał się mecenasem Evansa zaczął się w losy tego chłopca angażować uczuciowo, by przełamał w sobie całą tępa bezdusność, by się wzruszył, by na tej drodze przeżył swoje katharsis. Jeśli tak, to zamierzenie ngoda się nie udało. Przełom jest zupełnie nieprzekonywujący. Wydaje się, iż Williams uległ się raczej porównaniom Dziedzica od początku do końca złym. Skutek tej chwilejności nienadawczyjny, z Dziedzica wyszło ni to ni owo. Je-

dyna chyba czysto papierowa postać w sztuce.

Już pierwszy antrakkt postawił jasno problem jeszcze innego podobieństwa. Powiedział ktoś tłocząc się przy wejściu do zimnej poczekalni: ależ to Przełęcki w spódnicy, I tak i nie. Przełęcki świadom był swojej misji, społecznej — miss Moffat działała z pobudek niesprecyzowanych, podświadomych, może światu na złość, może dla mody I tu jest różnica.

A podobieństwa. W pewnej romantyczności działania, w romantyczności uporu i w romantycznej — ... naiwności Tak jest. Nie wstydzimy się tego nazwać po imieniu. Obrazoburstwo? Rewizja pojęć o Przełęckim? Mówicie o tym co chcecie. Sprawa jest prosta: „Powrót Przełęckiego” (należy wbrew Zawieskiemu) jest fikcją. Jeśli odbył się istotnie to tylko po to, by fakt ten pozwolił wejść na scenę jego następcy, duelmnu, młodemu człowiekowi. Przełęcki musiał zbankrutować. Bowiem nieuchronnie wisi klęska nad takim człowiekiem, który los swojej misji społecznej nagina do własnych, eso-

bistych przeżyć. Tragedia miss Moffat polega na czym innym. Na wspomnianej już nieswiadomości celu własnego działania.

Mimo złej ocenurki wystawianego obojgu na pewno nieznanym się działaczom stwierdzić, trzeba uznać, że byli oni potrzebni. Bez Przełęckiego nie byłoby świadomego działacza społecznego, bez miss Moffat nie byłoby Evansa, który zapowiada swój powrót po skończonych studiach do miejsc a urodzenia, by tu oddać innym dzieciom goń czym to, co sam ze szczególnej go przypadkiem otrzymał.

Z tej pobieżnej analizy dwu postaci wysnuć można na upartej wniosk bardziej ogólny, również bezsensownym jest wyklanianie romantyzmu jak i jego apoteoza. Romantyzm zapłodnił umysł ludzkości śmiałością proktów — dziś jest pora kiedy trzeba te projekty realizować, robiąc to z pełną ciężowością. Tak już jest. Projektodawca ledzi podwodnej był fantazją, a jej pierwszy realizator zimnym kalkulatorem, technikiem.

Powiedzieć można bez przesady, że sztukę zrealizowano w Teatrze

### Przed Molierem był Lope de Vega

Wynika to z porównania dact Molier (1622—1673), Lope de Vega (1562—1635). Wynika to również i z przyjrzenia się pewnej postaci w wystawionej przez „Placówkę” komedii Lope de Vegi pt. „Pies Ogrodnika”. Należało może zacząć zupełnie inaczej. Należałoby powiedzieć, że przed Lope de Vegi i Molierem był... Terencjusz. I teraz historia jest prosta: Phormion — Tristan — Skapen.

Zostawmy jednak statuska Phormiona w spokoju. Poco sięgać pamięć aż tak daleko. Tristan i Skapen wystarczą. Któżby się mógł zdziwić, gdyby na przykład sam Lope de Vega, lub do końca tłumacz jego komedii, Tadeusz Peiper, ochrzcił utwór inaczej, dając mu tytuł: „Szelmostwa Tristana” (nie łącząc oczywiście z Izolda)?

Wprawdzie no, tak. Z tytułem byłoby gorzej. Lope de Vega używa Tristana jako pomocnika w realizowaniu innych zamysłów, u Moliera Skapen jest osi całego utworu. W „Pies ogrodnika” główną melodią jest dziwaczna jak na nasz gust miłość Diany i Teodora. Służący sekretarza pięknej hrabiny jest raczej epizodem. — Molierowski Skapen jest sam w sobie tematem. Różnice te jednak nie potrafią wprowadzić nas w błąd. Po pierwszej scenie, w której ukazują się Tristan, wiemy, że przed nami starszy brat Skapena.

Można by śmiało, wznowiwszy molierowski spektakl w „Rozmaitościach” zmienić Fijewskiego z doskonałym Demoklem. Reżer, że niewiele osób zorientowałoby się w nowej sytuacji.

Czy Molier zapożyczył tę postać u Lope de Vegi? Biegli w piśmie wspomnają przy Skapenie o Terencjuszu, o Cyrano de Bergierac (komedii o satyrze, a nie o sztuce Rostana) — autora „Owczego źródła”; nie spotkaliśmy w tym zestawieniu koligacji. Nie wiem, czy Molier spotkał się kiedy z dorobkiem pisarskim Lope de Vegi. Jest to raczej mało prawdopodobne, a dla nas w tej chwili naprawdę niezbyt ważne.

Cieszy nas przede wszystkim fakt, iż uroczą plejada (dorzućmy: również Lope de Vegi był Szeckspira) kapitalnych sług — huncwotów powiększyła się o jednego godnego kompana. Idealne podobieństwo rysów świeżo odkrytego Tristana ze starym znajomym Skapenem nie przeszkadza, przeciwnie, bawi nas tym więcej, że bo daj bracia różne pokazują nam sztuczki z tą samą miarą, z tym samym szelmowskim uśmiechem.

Lope de Vega zrobił u swoich współczesnych karierę dzięki temu, że nie chciał być wielkim pisarzem. No, tak. Autor „Owczego źródła” wcale nie zmienił na Parnas. Nie śnił mu się nigdy Pegaz unoszący go na karty historii literatury, a tą drogą w nieśmiertelność. Lope de Vega wyznawał prostą zasadę:

Widz, to mój pan. Widz płaci, widz ma prawo wymagać — ja biorę te pieniądze, więc muszę pisać tak, by widz był zadowolony.

Zastanawiające są ciagoty społeczne pisarza tworzącego w połowie XVI wieku. Zastanawiające, ale wyraźne. Widzieliśmy je rok temu w „Owczym źródle”, widzimy je dziś w „Pies ogrodnika”. Bawi nas nieporadność autora, który nie bardzo ma odwagę wybrnąć z prostego konfliktu, wynikającego z miłości wysoko urodzonej hrabiny do sekretarza — prostaczka, i kłuczając, wijąc się, jak piskorz oddaje inicjatywę w ręce Tristana, ale podziw budzi fakt, iż autor w ogóle dostrzegł to zagadnienie, że interesowało go ono, że mogło się stać tematem rozmyślań, tematem pracy pisarskiej. Nawiasem mówiąc, do brze się stało, iż realizatorzy dorzawszy tę nitkę społeczną, nie zbili z niej (jak się to zdarza) powroza. Byłaby to niedźwiedzia przyłaga oddana autorowi.

Barwny i jakże miły spektakl teatru „Placówka” we wdzięcznej zachowamy pamięci. Melodie Kieszowettera warte są rozpowszechnienia. Reżyseria Wyszmarskiego warta wszelkich pochwał. W większości wykonawców wiele uznania należy się za swobodę ruchów i dobre chęci, a najęz za dykcję. Nad poziomem Karimem z Demoklem (Tristan).

Zmiana wykonawcy roli Fabia jest natchnieniem konieczna.

Jerzy Artemski



Jan Dobraczyński

# ŻEBRZĄCY PROROK<sup>(1)</sup>

Opowieść o Leonie Bloy

Nie wiem czym by była współczesna, katolicka literatura francuska, gdyby nie Bloy! Może nawet więcej — nie wiem, czym byłaby współczesna katolicka literatura w ogóle, gdyby nie gorączkowa twórczość tego pisarza o dużych, jasnych, zawsze błyszczących oczach, lwiej, groźnej czuptynie i siwych spadających misko na usta wąsach.

Sam Bloy, Leon Bloy, autor „Desesperé” i „Salut par les Juifs” jest mało znany. Nie przetłumaczono na polski ani jednej z napisanych przez niego trzydziestu sześciu książek! Ale twórczość Bloy znana jest dobrze katolikom współczesnym, ponieważ jej echa odnajdujemy w całej dzisiejszej literaturze katolickiej. Zaryzykuję twierdzenie, że ten pisarz, o którym w „Petit Larousse” nie ma nawet wzmianki (podobnie jak o innym olbrzymie myśli — Ernście Hëllo!) jest prawdziwym ojcem nowoczesnej literatury katolickiej. Nie chodzi tylko o to, że Bloy postawił na katolicyzm wszystko swe życie i swój talent. Indywidualność na miarę olbrzyma, człowiek, jak sam powiada o „pysze kalifa”, egotysta i egocontryk umiał swą krnąbrną indywidualność przyjąć i Bogu ofiarować. W Bloy nie ma nic z łatwizny mdłego, okliwego, przez cukrowanego, dewocyjnego katolicyzmu z zakrystii. Ten człowiek, wierzący nieugięty, pracujący z nieporównanym zapałem i wytnałością, spalając się cały w swej pracy, poświęcając jej wszystko — życie rodzinne, spokój domowy, sławę, rozgłos, dobrobyt, powodzenie — ba, nawet spokój serca — oczekiwał tylko jednego — lecz tego jednego, które jest wszystkim dla pisarza katolickiego — oczekiwał, że danym mu będzie stać się krzykiem sumienia Francji i krzykiem sumienia idącego ku zagładzie świata. Bloy wiedział — czuł — miał bowiem zawsze świadomość, że rzeczy te poznaje się sercem, widzi „drugim wzrokiem”, a nie dochodzi się do nich rozumowaniem — otóż Bloy czuł, że katolicyzm Fran-

zapału... ubolewa, że religia chrześcijańska posiada dogmaty, wolałby, żeby głosiła tylko czystą moralność... poczytuje swój rozum za wyższy od prawdy Bożej i niezależny od niej, ale uznaje chętnie swą niższość przed rozumem Voltaire'a...“.

Świat miernych jest światem stada — stada, w którym jednak każdy baran wierzy w swoją wielkość. Tylko w takim świecie mógł urosnąć do wielkości góry autorytet Rénana i tylko w tym świecie mogła osiągnąć takiej popularności nawianna, bukoliczno - drwiąca opowieść o takim właśnie nie-Bożym, nie-ludzkim, nie-historycznym, nie-realnym i w każdym calu nieprawdziwym Jezusie. Tylko ten świat mógł się entuzjastycznie płaskim naturalizmem Zoli, żyć obserwacjami Balzaca — obserwacjami niewątpliwie genialnymi, ale będącymi tylko obserwacją zewnętrznego („okiem, nieczym więcej”) człowieka, bez zajęcia mu w duszę — w wewnętrzną treść jego porządów i pragnień — delektować się prozą Stendhala, Flauberta, Taine'a, wciąż jeszcze kultywować pamięć Voltaire'a, czcić Tołstoja, bić czołem przed Ibsenem — natomiast „eks-komunikować” Barbey d'Aurevilly'a, Verlaine'a — odtąd przestał się tarzać w błocie — Hëllo'a, łamać Veurillota, zaś wobec Bloy zdobywać się tylko na spisek milczenia!

„Jakim sposobem — píše Hëllo z myślą o Bloy — pewne nazwiska, które powinnyby się znajdować między najbardziej znanymi, zupełnie są obce ogółowi ludzi? Dlaczego nieiliczni przyjaciele tego, o którym myślę w tej chwili, lekko szepczą między sobą jego imię, nie ośmielając się publicznie go wymieniać, gdyż nie ma ogólnego uznania? Czy sława ma swe tajemnice, czy też miewa także kaprysy?”

Oto odpowiedź: „Sława i powodzenie nie są do siebie podobne; sława ma tajemnice, powodzenie ma kaprysy”.

Tak jest z Bloy. Jego sławę pokrzyło tajemnicze milczenie. Błysk uznania pojawił się tylko na samym początku działalności. „Mój debiut — napisze potem — który był dość gwałtowny, spotkał się od razu z oklaskami. Ci, którzy cenili się nawet będąc moimi przeciwnikami, chwalili mnie. Nie byłem jednak wtedy jeszcze autorem „Desesperé”. Kiedy się przekonano o wybranej przeze mnie drodze, kiedy się okazało, że jestem i pozostanę człowiekiem Absolutu — nikt odtąd nie chciał iść za mną”. Zapadła cisza. Absolutne, głuche milczenie. Zmowa milczenia — to najkrótsza ze znow — zabijająca piszącego. Piszący bowiem nie pisze dla siebie. Chce być słuchany i musi być słuchany, aby mógł żyć. Można pisać w więzieniu — de profundis — a przecież pisać dla świata. Można pisać na pustyni — z myślą jednak o świecie. Można się oszukiwać słowami: „sobie a muzom”. Ale to nieprawda! Kto pisze — ten pisze, by być czytany. Oddaje bowiem część siebie, część najistotniejszą, najwartościowszą. Może swej sławy nie oglądać i najczęściej jej nie ogląda. Sława bowiem ma swe tajemnice, zwłaszcza sława tych, którzy przychodzą z wołaniem wielkim. Kto niesie Prawdę Większą od siebie jest zawsze „głosem wołającym na puszczy” i dokonują się na nim słowa: „On ma wzrastać, a ja się umniejszać”. Sława nie jest powodzeniem, i nie ma z nim nic wspólnego. To tylko mierni, ci co żyją „w pogaństwie, które jest ra-

finowane przez wieczność, przez to, że przecie całość jest chrześcijańska” (S. Kierkegaard) utożsamiają sławę z powodzeniem, a wielkość z wynikiem.

W życiu Bloy jest cisza, głucha cisza, tych, którzy powinni o nim mówić. Kiedyś rozdrażniony i gniewny napisał do pewnego księdza, że list, który od niego otrzymał, powinien być wyglądać następująco: Dziękuję panu imieniem Bożym, że pan jest takim, jaki pan jest: jedyny katolik w naszej epoce, który opiera się o Absolut... Jacyż są rzadcy chrześcijanie panu podobni, wrótni w prawdzie i miłości!

To już jest niewątpliwie przesada — nawet trochę niesmaczna. Nie zapominajmy jednak, że pisarz żył w stanie niebywałego rozdrażnienia i zniecierpliwienia. Każdą z książek tonęła w ciszy. Porwał się na tematy wstrząsające. Wypowiadał zdania krańcowo inne niż całe jego pokolenie. Nic z tego. Zmowa milczenia działała. Nikt o Bloy nie pisał, a ci co o nim wspominali — jak Rachilde i Mirbeau — byli mu duchowo i ideowo obcy. Że nie chcieli go słuchać ateści to rzecz jeszcze zrozumiała. Że nie chcieli czytać jego książek pisanych bólem i żarliwością mierni, letni chrześcijanie „burżuje” — to także można pojąć. Ale że katolicy, duchowieństwo francuskie odwracało się od miotającego się pisarza, to się nie mieści w głowie. Nie chciano go znać, nie chciano o nim wiedzieć.

Cóż za straszliwa sytuacja! Bloy rzucił wszystko na stos wiary. Wyrzekł się powodzenia. Nie zawahał się ani razu przed rzucaaniem przeciwnikom najbrutalniejszej prawdy prosto w twarz. Gotów był prowadzić walkę z całym światem. Tej walce poświęcił swe życie rodzinne. Skazał się na nędzę siedemdziesięcioletniego bytowania. Oddał jej życie dwóch swych małych synków, ciężką, nieuleczalną chorobę najstarszej córki. Nie zachował dla siebie nic. Jego życie codzienne budziło zachwyt. Do ostatniej chwili był codziennie na mszy. Do ostatniej chwili przystępował codziennie do Komunii świętej. Był ojcem chrześcijnym wielu neofitów. Odbudował — swymi książkami — wiarę w wielu ludziach. Setki śpiących katolików zbudził do życia.

Był człowiekiem krańcowym, zdolnym do wszystkich ostateczności, prócz zdrady swych ideałów. Posiadał nieporównany, niezwykły, jedyny, bujny, żywiołowy, miazdzący przeciwników talent walki. We Francji, w kraju pamfletistów i gwałtowników pióra, w ojczyźnie J. P. Courriera, Rocheforta, Drumonta, Tailhade'a, Veurillota, Barresa, Daudeta — Bloy był najbujniejszym, największym gwałtownikiem. Budził lęk, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy rzuci pióro a zabierze się do wyrzucania przeciwnika przez okno. Walczono z nim milczeniem, nikt bowiem nie śmiał stanąć z nim do rozprawy. Wyobraźmy sobie publicystę o temperamentie naszego Majdańskiego, o wiedzy i porywczosci Nowaczyńskiego, wizjonera o jasności wzroku proroka, artystę subtelny i głęboki, władcę słowa o niebywałej barwności, twórcę stylu palącego jak ogień, pomnóżmy to przez rozsądzającą wszystkie dynamikę, charakteru i siłę woli stworzonego człowieka, który się nie cofa przed niczym, ma odwagę rzucać każdemu prawdę w oczy, choćby to była prawda brutalna i okrutna, dajmy temu człowiekowi

żarliwą wiarę pierwszych chrześcijan, a jednocześnie dumę polskiego szlachcica, odbierzmy mu wszystko w życiu, aby mógł wszystkie swe niezaspokojone pasje zestrzelić w jedno, a wreszcie dajmy mu długie chwile przymusowego milczenia, by wtedy gdy pisze wybuchał dumioną burzą całych miesięcy oczekiwania — zbierzmy to wszystko w jedno, a będziemy mieli Leona Bloy.

A katolicyzm ówczesny, schlebający moźnym, to typowy katolicyzm „dobrze myślących”. Burżujski katolicyzm! Stać go było najwyżej na organizowanie „dobroczyńnych kiermaszów, na których występowała najbogatsza „société” Paryża, emalowana przez najmłodniejszych prałatów i kanoników, by za cenę rowii mody i przeglądu klejnotów zebrać na tacę dla biednych stolicy świata „Ville lumiere” — kil kaset franków! Gdy jeden z tych kiermaszów w nagłej katastrofie spłonął, Bloy wydał okrzyk godny zawodów proroków starotestamentowych: „Nareszcie!” Nareszcie przyszła kara i nareszcie ogień pożera grzesznych! Oby tak było jak wówczas na pustyni kiedy to „ogień od Pana obrócił w perzynę część obozu na samym krańcu”.

Dla takiego społeczeństwa Bloy żywił tylko gniew. Święty gniew. Napisze: „Nie lubię niedzieli. Nie mogę uniknąć tego okropnego wyznania... To jest dzień tygodniowego triumfu dobre myślących, dzień mszy parafialnej, kiedy to harem rozsądnego kultu przychodzi do kościoła, by złożyć przed ołtarzem banały swej pobożności. To jest dzień toalet zimowych lub letnich, które są przeznaczone jedy nie na wizyty serio. To jest dzień, kiedy proboszcz, zawsze czcigodny i zwykle kwitujący dobytym wyglądem, głosi bez rozżalu słowa Boże i schlebia swym słuchaczom, zapewniając ich o wyższości trybunału nad twardą radą ewangeliczną — uznają dziś za niemodną”.

Czyż mogło powstać porozumienie nie pomiędzy takim człowiekiem a takim społeczeństwem? Im w wiek szym rozkładzie jest społeczeństwo katolickie, tym jest skłoniętsze do kamienowania swych proroków. Postawa ludzi jak Bloy jest nienawistna „burżujstwu” i fałszowi. To samo przecież społeczeństwo zdeptało milczeniem Hello, a potem wpędziło w nędzę Péguya — bo był katolikiem nie na miarę katolików swego czasu — odepchnął de Foucaulda, odkąd ten przestał być wesołym oficerem, a zapragnął — cóż za przesada! — habitu zakonnika. To samo społeczeństwo, które oficjalnie uznaje bluźnierczość dzieła Rénana, zaczytywało się jednak „Życiem Jezusa”, potraktuje pogardliwym milczeniem wnuka „wielkiego” Ernsta, „Setka” z „Ziem Słońca i Snu” — poległego pod Rossignol — Ernesta Psichari.

Między takim społeczeństwem a samotnym pisarzem — zawsze samotnym, bo poza wierną żoną i garstką przyjaciół — otaczają go sami wrogowie nie mogło być go dy. Na potęgę sobie napisze „Człowiek, który ma przeciwko sobie wszystkich, zwłaszcza swych najlepszych przyjaciół, jest chyba bliższy Prawdy niż inni...”. Pocięsząc się zresztą musi często. Biada bowiem samotnym! I gdyby nie ta wierna z najwierniejszych, żona, zawsze w swego Leona wierząca, a ślaniająca go przed wszystkimi ci sami, pogodnie znosząca potworne

męczarnie ich żebraczego życia, nie widząca życia za nim i za jego sprawami, nigdy nie żądająca, by poświęcił choć na chwilę swą postawę dla niej czy dla domu, i jeszcze po śmierci męża pracująca nad wydaniem i rozpowszechnianiem jego prac, gdyby nie Joanna Bloy może by się wreszcie załamała ten olbrzym, może by nie potrafił wytrwać w swej postawie do końca.

Katolicyzm francuski nie zdobył się na to, by umożliwić życie i twórczość tej miary pisarzowi. Pomagałi mu dorywoczo ci i tamci, przysyłałi mu bezimiennie po parę franków. Oficjalne sfery katolickie: episkopat, duchowieństwo oraz inteligencja katolicka — milczały. Objętnie patrzano na nędzę i samotność człowieka, który był heroldem nowoczesnego katolicyzmu. Pozwolono mu grzęznąć w nędzy.

Chłodnemu katolicyzmowi nie potrzebny jest człowiek; wystarcza mu masa. A masa katolicka, tłum — jak każdy zresztą tłum — przyjmuje tylko zewnętrzne znamiona wiary, zewnętrzny kształt kultu. Lu dzie z tłumy nie toczą walki o swą własną wiarę. Oni przyjmują wszystko łatwo, tak łatwo, że przy byle okazji gubią wymogi swej wiary i nawet nie wiedząc o tym, łączą je z przesadami, z zabobonami, z komu nałami burżuazyjnego świata. Nie nawiądzają prawdziwej religii, bo im się wydaje „przesadna” — nienawidzą wielkości. Dla nich „odróżniają szlachetne od nieszlachetnego piękne od ohydneho, starają się coś zrozumieć, walczyć o zwycięstwo, nie sobie nie robiąc z zapór i barier — żyć wreszcie — to wszystko podpada pod anatemę. A sztuka nie jest wydobytym z życia łatwością. Prawdziwa sztuka — ta, która „tworzy bogów” — ale którą można zmusić do służby Bogu — prawdziwa sztuka będąca drogą ku Pięknemu — jest wysiłkiem i wzniosłością. Zawrotną wyżyną i heroizmem. Prawdziwy artysta musi być choć trochę poddany wołaniu świętości. Węc świat leniwych i śpiących nie nawiądzają sztuki, bo ona go budzi i zmusza do kroczenia naprzód. Dlatego to: „Katolicy współczesni nienawidzą sztuki w sposób dziki, okrutny i niepojęty... Gdzie indziej jest to po prostu nienawiść do piękna. Ale u katolików mamy do czynienia już nie z nienawiścią ale z obrzydzeniem. Można by powiedzieć, że dusze letnie, porzuciwszy heroizm swych przodków dla onót rozsądnych i nieprzesadzonych, które, zdaniem dopasowujących się łatwo do sytuacji pasterzy, są wystarczające, zastąpiły w ten sposób przestarzałą nienawiść do zła przez wstępną do tego zwierciadła ich nędzę, natrętnie wypchanego im przed oczy przez wielbieli ideału. Gniewają się tedy na piękno jak na pokusę, jak na sam grzech, a odwaga geniuszu budzi w nich zgrozę, podobnie do tej, którą musi obudzić gest Lucyfera...”

Ten świat małości potrzebuje także swoich artystów, których oklaskuje i darzy uznaniem. Stwarzają oni tylko złudzenie, że katolicyzm jest czezą gadaniną, dającą się jak gąbka wycisnąć w garści. Fabrykantów „czystej wody” nigdy i nigdzie nie zbraknie. Zakrętya potrafi ich produkować masowo. I żaden z nich nie widzi w katolicyzmie prawdy, która parzy palce.

Cóż chcecie? — powiada Bloy — cytując kogós: „Kler święty tworzy lud cnotliwy, kler cnotliwy tworzy

Katolicyzm francuski połowy 19 wieku był w rozkładzie i cuchnął. Był katolicyzmem letnich, miernych „burżujów”. L'homme médiocre — ten termin stworzony przez Hello — pozostanie na zawsze pojęciem tragicznym, obrazującym najniższy stopień rozkładu chrześcijaństwa „Człowiek mierny — píše Hello — sądzi, że chrześcijaństwo jest użytecznym środkiem ostrożności i byłoby nieroztropnością odrzucić je. Niemniej przeto nienawidzi je w głębi duszy; niekiedy żywi onów doń pewien szacunek konwencjonalny, taki sam, jak dla książek mających powodzenie. Ale żywi szczerą odradę do katolicyzmu, zarzuca mu przesadę... Człowiek prawdziwie mierny uwielbia wszystko po trosze, ale nie całkowicie i bez



Jerzy Radkowski

# CZYŻBY NOWY TOLSTOJ?

Zadziwiająca jest rzeczą, że kiedy mowa o kryzysie beletrystyki francuskiej, nie słyszy się, tak jak w wypadku poświęconej temu problemowi niedawnej ankiety w „Nouvelles Littéraires”, nazwiska Alberta Camusa. A przecież, jeśli jakaś praca ratuje honor powieści francuskiej w okresie powojennym, jest nią właśnie „Dżuma”, która w 1947 r. otrzymała Nagrodę Krzyków.

Chociaż minęło już półtora roku od wydania tej książki i choć, od chwili jej ukazania się, wiele innych przyznano już nagród, „Dżuma” pozostaje gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie literackim. Dlatego sądzimy, że nie będzie anachronizmem sprawozdanie o pracy, która ukazała się przed 6 miesiącami.

Dzisiaj, gdy mówi się i pisze jedynie za lub przeciw literaturze ideologicznej, niepozabawionym ironii jest stwierdzenie, że najlepsza obecna powieść jest równie odległa od środowiska literatów zaangażowanych politycznie, jak i od zwolenników literatury „czystej”. Bo, po przeczytaniu „Dżumy”, tak samo trudno posądzać jej autora o humanizm marksistowski, czego, przynajmniej trzeba, nigdy nie czyniono, — jak o chrześcijaństwo — o co chwila mi można by się pokusić, czy o egzystencjalizm, tę „trzecią siłę”, na czym w rezultacie niektórzy próbują poprzestać.

A przecież Camus nie jest równie tylko esteta. Cała jego książka skierowana jest ku poszukiwaniu człowieczeństwa idealnego, albo raczej świętości? Ale czy człowiek może i powinien zostać „świętym”, a nie mogąc nim być, czy powinien pozostać zwykłym „lekarzem”?

Właśnie odpowiedzi na te pytania poszukują postacie i bohaterowie „Dżumy”. W problemach, poruszanych przez tę powieść, jak i w jej formie artystycznej, odnajdujemy pokrewieństwo ze wszystkimi poprzednimi dziełami Camusa. Filozofia w niej zawarta jest zbliżona do „Mitu o Syzyfie”, a forma literacka do „Cudzoziemca”. Pod tym kątem widzenia „Dżuma” wydaje się być rezultatem głębokich refleksji, wypowiedzianych w szczytowym punkcie ich rozwoju. W „Cudzoziemcu” autorowi nie udało się w całej rozciągłości utrzymać jednolitej akcji: trzęsła i obiektywna biografia przekształcała się przy końcu w liryczną i subiektywną autobiografię; autor zajął miejsce bohatera; z powieści opowiadającej o niedorzecznym człowieku wyciągnął wnioski dla obrony filozofii nie dorzeczności. W „Dżumie”, przeciwnie, odczuwamy zachwycającą prawdę i czystość tonu. Jako łoś — sucha i bezosobowa kronika z surowym obiektywizmem notująca małe i większe zdarzenia w mieście, dotkniętym plagą, a na tym tle rozgrywają się, pełne wstrząsów i wielkiego patosu, dramaty ludzi, których codzienną rzeczywistością stała się śmierć. Camusowi udaje się tutaj osiągnąć wielkość przez prostotę, wzruszenie przez chłodne opisy, ciężar gatunkowy przez nagromadzenie drobnych szczegółów i opisy najzwyklejszych czynności. Autor potrafi technicznie w swoje postaci samodzielną życie i wyłączyć je z otaczającego środowiska. A jednak w tym dziele o czystej linii, o posępnej tonacji, w łonie tej ściśle klasycznej równowagi, istnieje wewnętrzna sprzeczność, która wynika z równoległego umieszczenia w ciągu całej akcji dwu rodzajów opowiadań: symbolicznego i realistycznego. To też „Dżuma” nie jest ugruntowana ani w rzeczywistości

prawdzie życia, ani w poezji mitu. Można powiedzieć, że jej postaciom brak jakiejś plastyczności, że mają tylko zarysy, kontury doskonałe, ale pozbawione wnętrza. Rezultatem tego jest pewien brak w ich wyodrębnieniu; odnosi się wrażenie, że są one modelowane w jednej glinie; dialogi tych bohaterów są w rzeczywistości zbiorowymi monologami; świat ich jest odgródzony i zamknięty: świat w dwu wymiarach.

Ludzie z powieści Camusa są jednak stworzeni nie tylko z elementów artystycznych, ale i filozoficznych. I to jest właśnie tworzywo, które, przeniesione na płaszczyznę artystyczną, daje ów świat dwuwymiarowy; ta postawa tkwi jeszcze korzeniami w „Micie o Syzyfie”.

Podstawową przyczyną takiego stanowiska jest głęboka sprzeczność, istniejąca między człowiekiem a światem zewnętrznym, wieczyste rozdarcie między ludzkim porzywem ku szczęściu i rozumieniu, a tępy milczeniem świata. Z tego dramatu rodzi się dla Camusa świadomość niedobręczności. Wobec tej świadomości bohater Camusa nie znajduje żadnego wyjścia; rozum staje się bezradny wobec irracjonalności świata, a przecież nie poza rozumem nie istnieje; wszystko inne jest zakłamaniem, oszustwem, zdradą. Typowym zakłamaniem jest nadzieja: „nadzieja na inne życie, na które należy zasłużyć, lub oszukiwanie tych, którzy żyją nie dla samego życia, ale dla jakiejś wielkiej idei, przerastającej życie, sublimującej, i nadającej mu zdradliwą treść”. Bohaterowie Camusa nie mają nadziei. I dlatego ich walka z jałowym milczeniem świata jest skazana na porażkę, jak walka doktora Rieux z dżumą. Mimo to owa porażka ma różne znaczenia w „Micie o Syzyfie” i w „Dżumie”. W pierwszym wypadku chodzi tylko o pewne prawidło gry, które leży poza złem i dobrem. Życie jest grą, w której człowiek „świadomy tego, że jego swoboda ma granice, że jego bunt nie ma przyszłości i że jego sumie nie jest niepewne” — przeżywa przygodę. Camus bierze udział w tej przygodzie, ograniczając człowieka do roli aktora i sądzi go w zależności od jego gry — dobrej albo złej.

W drugiej powieści Camus trzyma stronę człowieka: pasjonująca przygoda staje się światem, w którym ludzie skazani są na śmierć, a dzieci na mekę. Zwycięską zachwałości, akrobacje myślowe i zamknięcie do teatru zastępuje śmiertelna walka z epidemią dżumy. Lekarz zajmuje miejsce Don Juana.

Co w dziele poprzednim było tylko prawidłem gry, tutaj staje się klęską; co leżało poza dobrem i złem, przechodzi do szeregu kategorii moralnych. Zmiana postawy estetycznej i etycznej wskazuje ewolucję Camusa od „Mitu o Syzyfie” do „Dżumy”. Camus zostaje moralistą, którego jedyną wiarą jest nakaz wewnętrzny, idący w parze z całkowitą rezygnacją na płaszczyźnie metafizycznej. „Byłem wtedy młody” — mówi doktor Rieux — „i mój wzrost skierowany był przeciwko istocie porządku świata. Od tego czasu stałem się bardzo umiarkowany. Po prostu ciągle jeszcze nie jestem przyzwyczajony do widoku śmierci. Nic ponad to nie wiem”. Dla bohatera Camusa jedynymi pownikami są sprawy wspólne wszystkim ludziom: miłość, cierpienie, wygnanie. Postacie w

„Dżumie” poszukują w toku „kroniki” dowodu tych powników.

Kiedy się zamyka tę pasjonującą książkę, myśl nasza zatrzymuje się wobec naglącego pytania: czy w osobie Camusa nie stoi przed nowym Tolstojem? Te same pozory obiektywizmu, szukające swego artystycznego wyrazu w formie epicznej i bezosobowej, a w gruncie rzeczy liryzm czysto osobisty. Tak, ale jeszcze coś więcej: zadziwiające pokrewieństwo stanowisk metafizycznych obydwu pisarzy. Na pierwszy rzut oka różnice wydają się znaczne, jeśli nie zasadnicze. Tolstoj głosi „nie sprzeciwianie się złu”, a Camus jest w „Dżumie” zajęty wyłącznie walką ze złem. Ale to są jedynie pozory. W istocie Tolstoj i Camus zachowują jedną postawę: postawę pesymizmu i nihilizmu meta-

fizycznego, połączonego z optymizmem i „maksymalizmem” moralnym. Absolutny brak wiary w życie łączy się u nich z całkowitym uznaniem dla człowieka, bo Tolstoj, jak Camus, wierzy w dobro natury ludzkiej. Dla nich świat jest podzielony na dwa obozy: obóz zła i obóz jego ofiar. Człowiek znajduje się zawsze w tym drugim. Kto popełnia zło jest też ofiarą; ofiarą własnej nieświadomości. Jeżeli chce się walczyć ze złem, w rzeczywistości walczy się z bezbronnymi i pokrzywdzonymi. W rezultacie daje się nową broń zła i jego katom.

Dla Camusa więc, jak i dla Tolstoja, zło nie jest sprawą człowieka, lecz sprawą świata. Jest to przyczyna kosmiczna, przesądzająca los rodzaju ludzkiego, wobec której wola

człowieka jest bezsilna. Stąd wszelkie sprzeciwianie się złu jest skazane na całkowitą porażkę, a święty w obliczu klęski staje jedynie swobodnie po stronie ofiar zła: Chrystus u Tolstoja, Tarrou i Rieux, „lekarz”, u Camusa.

To powinowactwo Camusa z samotnikiem z Jasnej Polany, którego głos zdaje się nam, że odnajdujemy, na kartach „Dżumy”, jest tym co najbardziej oddala Camusa od chrześcijaństwa; jest to abdykacja wobec życia, której chrześcijaństwo nie przyjąłoby nigdy i nie budzące w nim zaufania przyznanie absolutnej wartości człowiekowi. Ten rodzaj tolstojizmu kryje w sobie ostatnią pokusę dla Camusa: negację historii i użyteczności wysiłku ludzkiego, który tę historię stwarza.

J. Radkowski

## ŻEBRĄCY PROROK<sup>(1)</sup>

(Dokończenie ze str. 3-ciej)

lud szlachetny, kler szlachetny twożysz lud bezbożny...?

Jeszcze w „L'imposture” Berna nosa pojawi się niby echo tamtych czasów sylwetka ks. Cénabre — artystyczne wcielenie, wcielenie ulubienia „katolickiej” Francji i złaicyzowanego akademika abbé H. Brémonda. Ci prałaci, o biadnych rękach, politycy, dyplomaci, kłamacy i masoni, ci kanonicy, tędrzy, za żywni, lubiący dobrze zjeść i dobrze wypić, ferujący wyroki w sprawach sztuki, piękna, kultury, to znaczący w sprawach, o których nie mają zielonego pojęcia, skąpi bardziej niż molietowski Harpagon (kto wie czy Moliere, wciąż nawołujący w „Tartuffe” by nie zabijał ludzi poświęconym „żelazem”, nie z tego właśnie światka zaczerpnął wzór dla swego bohatera?), wytruczający swym owieczkom, że nie żyją za „Bóg zapłać”, pierwsi do wstrzymania należności pracującym, („Nie zawiążesz pyska wołowi młóćącemu”), ci złotouści kaznodzieje, usprawiedliwiający w pięknych słowach swoją trzódkę, oni wszyscy patrzyli na Bloya jak na niebezpiecznego szaleńca. Nie za-leżało im wcale, żeby autor „La femme pauvre” dalej pisał. Raczej przeciwnie — woleli aby milczał. Mieli dość utrapienia z księżmi jak ksiądz (potem biskup) Dupanloup, którzy nie chcieli być malowanymi duszopasterzami. Gdy już mu się trzódce nie wystarczali, Voltaire, Rousseau, Renan, Zola, Flaubert, ale trzeba było kreować pisarza katolickiego — wtedy stawiali na jakiegoś „chłopca z zakrystii”, na sentymentalno-dokliwe indywiduum, fabrykujące dowolnie — prozą lub wierszem mdłe „religijne” utwory, pełne niezamknięcia czystej wody („woda” — mówili im przeciwnicy, „ale czysta” — odpowiadali z dumą mecenasi) lub czekali na... sławnego konwertytę!

Katolicyzm szuka zawsze zgubionych owieczek i zawsze daje pierwszeństwo powracającemu synowi mamotrząwemu — zna bowiem nieskończoną wartość duszy ludzkiej. Ale taki zamarły katolicyzm poluje tylko na nawróconych „wielkich”. Jacy są oni naprawdę? — mniejsza. Czy się nawrócili szczerze? — to nie ważne. Są wielcy! Są uznani!

Katolicyzm francuski 19 stulecia miał możliwość ukazania własnych kryteriów piękna. Nie pokusił się o to. Choć ze smutkiem przyjmował jednak wydetę wielkość Rëna-

na, a godził się z pogębieniem geniuszu Hélio, nie dyskutował nad uznaną tylko przez niekatolików wielkością Zola, dał zniszczyć natomiast Barbeya d'Aureville, „Na formalny rozkaz arcybiskupa Paryża”, gorszył się nie bez pewnego zachwytu, „Blaskami i niedza mi życia kurtyzany”, nie zrobił jednak najmniejszego gestu, by wykazać, że ten sam problem z nieporównaną wyższością psychologiczną odmalował nieuznany, artysta „zły” katolik Bloy w „La femme pauvre”.

„Desesperé” wstrząsa dziś jeszcze czytelnikiem. Satanistyczne ramoty Huysmansa uspią najupartsze go w niedługim czasie. Ale Bloy niekt nie nazwał wielkim, natomiast Huysmans miał opinię „niezrównanego”.

Podobnie było z inną „kolumną” Kościoła — Franciszkiem Coppé.

Ale Coppé był sławny, zanim się uznał katolikiem, Bloy chciał wewnątrz katolicyzmu dochodzić znaczenia. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju — nawet w katolicyzmie. A już zwłaszcza w świecie francuskim katolików 19 wieku, byli widac zrobieni na obraz swoich pasterzy...

Więc jeszcze raz przeciwko kłecowi. Aż do ostatnich dni życia zawsze z gniewem, zawsze w gorącej. „Przekonany byłem zawsze — pisze — że najgroźniejszym grzechem duszy jest grzech zaniedbania...” O ten to właśnie grzech, o zaniedbanie, o nieczynienie pisarz oskarża hierarchię kościelną Francji. Ba, nawet Papieża! Na progu śmierci, w ostatniej swej książce, nazwie Benedykta XV przerażającym imieniem Piłata XV.

Napisze Mauriac, odpowiadając na ankietę „Espnrit”: „Podobnie do Fumeta i Bernanosa przewracacie stare gniewy Leona Bloy. Rzucacie gromy na bezdusze „Klany”, na zautomatyzowanych „rozdzielaczy” Łaski, gdy tymczasem o jedno tylko chodzi, aby każdy z nas został świętym. Cóż mnie obchodzi ludzie, którzy mi dają Chrystusa?”

Sprawa jest tylko częściowo słuszna. Prawda — Łaskę sakramentalną daje człowiekowi kapłan godny i niegodny. Nie w jego bowiem mocy jest pozbawić sakrament świętości. Ale on także wychowuje swoją trzódkę. I tutaj gniewuje Bloy znajdując swoją podstawę. Nie będzie lud święty jeśli świętymi nie będą

jego kapłani, a jeśli kapłani nie będą godni, jeśli będą „gorsi niż szatan” — jak o nich mówiła Katanzyna Sienieńska — lud także przestanie być godny. Wiek 20 we Francji to znów wieku 19. Nie oskarżajmy wrogów Kościoła! Oni przecież chcą Kościół zwyciężyć. Katolik musi natomiast mieć odwagę za winy zaniedbania oskarżyć katolików. Oskarżyć siebie! Nie jesteśmy bowiem słabi, ale jesteśmy ludźmi, którzy mają grom w ręku. To jest tragiczna prawda Francji i to jest tragiczna dola ludzi podobnych Leonowi Bloy. Pozostawieni na rozdrożu pomiędzy pozycją głosu, który wolał przódno na puszczy — a głożą ze zostaną wpełnieni do obozu heretżji, — jeśli się przed tą drugą ostatecznością udolają ocalić, muszą zostać przez katolicyzm spaleni, aby potem być odkopani i uznani. Taka jest dola proroków dnia dzisiejszego! Taka była historia Joanny, która nie poszła przeciwko Kościołowi i dlatego została spalona. Dziwaczny paradoks ujawniający prawdziwość i świętość Kościoła. Bo tylko Instytucja, która ma odwagę spalić swych najgorliwszych wyznawców, a potem wynieść ich na ołtarze, jest Instytucją jednocześnie po ludzku małą i po Bożemu wieczną. Świętość ludzi w Kościele, to prawda ich walki z katolikami — choćby ci katolicy siedzieli na stolicy Piotrowej. A tajemnicą świętości jest tajemnica walki Jakuba z Amiolem. Trzeba być bowiem „wężem” i „gołębiem”, „gwałtownikiem niebieskim” a jednocześnie „cichym i pokornym sercem”, trzeba umieć walczyć „aż do rannej jutrenki” na miejscu nazwanym potem Fanuel, i trzeba umieć, poznawszy przemoc przeciwnika, powiedzieć mu: „nie puszczać cię, aż mi pobłogosławisz”.

Nie szukajmy w Bloy — świętego. Był człowiekiem tak pełnym na miętności, że jeszcze jako chłopiec w szkole nauczał się na kolegów z nożem w ręku. Potem sam o sobie mówił, że jest „człowiekiem walki”, krzyżowcem, który tęskni za krucjatami. Popelnił wiele grzechów. Ale gdy nagle przyszło mu stać się pisarzem katolikiem uderzył w ten jedynie właściwy ton, którego inni nie umieli odnaleźć: w niepokojący ton poszukiwania świętości. „Jestem pożerany — pisał o sobie — potrzebą sprawiedliwości, jakby przez smoka wygłodzonego od cziasów potopu”. A sprawiedliwość, w języku Ewangelii oznacza świętość.

Jan Dobraczyński



Stanisław Podlewski

# Ostatni uśmiech Starego Miasta

Matce i żonie poświęcam

Od piątego sierpnia ludzka lawina nieprzerwanie dniem i nocą przez ulice: Chłodną, Ogrodową i Leszno. Kobiety i mężczyźni niosą dzieci na ramionach, uginają się pod wazkami, obciążeni tobołkami, zawiniątkami, śpiesznie zrobionymi. Utrudzeni, znękani i otepleni, idą w głuchym ponurym milczeniu przez ulice zasiane szkłem, odtamkami białymi, powalonymi drzewami, słupami, latarniami, wywróconymi tramwajami. Brodzą poprzez popłatane przewody, gramolą się przez rowy i zapory przeciwczołgowe, przeciskają się przez ciasne przejścia w barykadach wśród fantastycznych zwalów kamieni, żelastwa i wszelkiego rupiecia.

Miedziane słońce wyrzyszcza czasem z czarnych domów na ten exodus mieszkańców stolicy. Przykry swąd spaleniżny unosi się wszędzie i wciąż się płosi.

Po wstrząsających przeżyciach wśród płonących domów i ulic Woli, Koła i Powązek uderza uchodźców przedziwny nastrój swobody, i bezbratności Starego Miasta. Wita ich ono błogim spokojem, idyllą i niedzielnym świątecznym pogwarem ludzkiej i wąskich uliczek, powodzących białoczerwonych chorągwi, srebrnych orłów i wesołymi dźwiękami radia.

Stada białych gołębi zlatują z łopotem skrzydeł ze szczytu czerwonych spadziastych dachów, przylatują do siebie kamieniczek na cichy płacyk. Jakaś kobiecina stoi wśród rozguchanego i cisnącego się do jej nóg piasek bractwa, drżąca ręką rzuca okruszyny. Słyszę jej rozmowę z nimi.

— Nie łóżcie się. Wiecznie wam mało moje głodomory. Nie dźbió jej. Taką mesz szacunek dla pki pięknej. Dajcie coś uszczknąć wróbelkowi. Z głębi sklepu dochodzi melodia „Żołnierz drogą maszerował” naprzemian z klaskaniem młotka — to stary szewc, liczący więcej niż sześć krzyżyków, śpiewa i przybija zółwki.

Kilku staruszków siedzi na ławeczkach i krzeselkach przed kamieniczkami, wygrzewają swoje stare kości nękane reumatyzmem.

Rude słońce całuje kamienne obramowania, portyki, gmerki, attyki, gzymsy i różowe spadziaste dachy, zagląda załotnie w roześmiane oczy okien, patrzy w dostojne oblicza starych patrycjuszowskich kamieniczek, stojących w zwartym szeregu w godowej szacie barwnej polichromii, w żółtych, błękitnych, złotych i wybiakłych ornamentacjach i w powodzi biało-czerwonych chorągwi.

Staruszkowie gwarzą sobie o tym i o owym. Przysłuchują się ich rozmowie.

— Z wiosną na środku naszego rynku zwieźli piasek wiśniany, w taki jak dzisiejszy dzień przychodził Niemiec w mundurze, siadał na piasku i rysował, malował. Gromadki dzieci zaglądały z za pleców. Nie przeszkadzało mu to. Nawet dziwił się, że jest taki wyrozumiały. Któregoś dnia rozszła się wieść, że Niemcy knują coś niegodziwego, robią jakieś plany, chcą nas wysiedlić z naszych kamieniczek... ja w to nie wierzyłem...

— Czy tak nie było? Ze starego Zamościa, z takich samych kamieniczek na rynku wyrzucili Polaków... syna mego z całą rodziną, z dziećmi dali dziesięć minut czasu... Jędzili najpierw, fotografowali, filmowali i malowali... od tego się zaczęło. Miasto nasze nazwali, psubraty Himmelerstadt.

— Siedziałem sobie tutaj, jak dzisiaj pamiętam, patrze, dwóch naszych, takich młodzików podchodzi szybko do Niemca, po czym jak gdyby coś klasnęło w dłonie. Patrze Niemiec zwał się jak kłoda całym ciałem na swoje malowidło, drgnął jeszcze kilka razy i tak pozostał. Zabrał mu broń, pas i zniknął w ulicę. Myśleliśmy, że teraz będą nas wysiedlać. Rynek i ulice opustoszały jak gdyby je ktoś wymiósł.

Nie słyszę dalszej rozmowy staruszków. Przechodzą przez ulicę Nowomiejską. Obok mnie żywy strumień przechodniów przelewa się w obie strony. Ongiś wznosiła się tutaj brama Nowomiejska. Resztki dawnych murów zostały ocalone, zabezpieczone tuż przed ostatnią wojną, wydarte szpetnym kamieniczkom czynszowym, przez Stefana Starzyńskiego.

Teraz gromady dzieci zabawiają się beztrudno na trawniku w głębokiej fosie pod zębą barbakanem, wzdłuż czerwonych ceglanych murów. Nieustannie słychać ich nawoływania, krzyki i piski. Uwija się chłopcy, urwisy z Rybaków i Szerokiego Dunaju, uwijają się wszędzie. Niektórzy z nich powkładali niemieckie zdobyczne mundury. Ramię wydadają się im te dziwne chwile. Znieśli puszki najprzedniejszych konserw mięsnych i rybnych, wory cukru i maki, paki czekolady suszonych owoców, przytoczyli beczki wina z magazynów esesmańskich na Stawkach. Paki papierosów, cygar i tytoniu przynieśli z magazynów monopolu tytoniowego.

Jakieś dziwne postacie w pasiakach, chodzące szkielety, zatrzymują się coraz przed sklepami i furkami — to żydzi z Grecji, Węgier i Rumunii — uwolnieni przez powstańców z obozu na Gesiówce i na Stawkach. Wszyscy są tatuowani. Na lewej ręce mają znak, w którym znajduje się litera J (Jude), pierwsza litera państwa, z którego pochodzą i numer.

Gromady zmęczonych, uchodźców rozłożyły się wśród swoich tobołków. Szukają teraz w staromiejskich murach schronienia na te ciężkie dni. Kobiety kamną swoje malenstwa. Mieszkańcy Starówki przystają przy nich, wypytują się, skąd przyszli, jak daleko są Niemcy, jak walczą powstańcy.

Dymy ognisk snują się w fosach, gwar głosów ludzkich przepelnia mury. Odżywa wizja dawnej Warszawy: gdy wróg stanął pod jej murami i stolica przygotowywała się gorączkowo do obrony.

Po tylu latach przymusowego milczenia odezwała się sygnaturka, bodaj z wieży świętojańskiej katedry. Jej czyste i srebrzyste dźwięki są tak miłe dla uszu staromiejskich mieszkańców.

Jest to pierwsza niedziela, obchodzona w wolności. Tłumy mieszkańców obiegają świątynie Pańskie. Wszystkie świece i żyrandole jarzą się przed ołtarzami. Kapłani odprawiają pontyfikalną Mszę św. Kościół garnizonowy na ulicy Długiej zagarnięty przez Niemców objął już O.O. Palotyń. Teraz odbywa się pierwsze nabożeństwo dla oddziałów powstańczych i uroczystość złożenia przysięgi. Wszyscy chcą być świadkami tego historycznego momentu, więc gęsty tłum zapelnia świątynię po brzegi, wokół karnych powstańczych szeregów.

W czasie Mszy św. wojsko i ludność przystępują do komunii świętej; I znów chorągwie narodowe i kościelne wznoszą się nad głowami, rozbrzmiewa znów „Boże coś Polskę” i bije z niesłychaną mocą i wiarą ze wszystkich piersi.

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie Ojczyznę, Wolność racz nam zwrócić Panie”.

Teraz ksiądz Łukasz, kapłan zgrupowania „Gozdawa”, zstępuje ze stopni ołtarza. Kapitan Ognisty i ppor. Wyrwa stają obok niego. Chłopcy przystępują doń grupkami po pięciu. Słowa żołnierskiej przysięgi słychać wśród podniosłej ciszy. Po nabożeństwie radosny tłum wylewa się na ulice i place przed świątynią, tworzy szpaler.

W głębi ulicy Długiej widać jak formują się sprawnie kompanie, plutony. Rozpoczyna się defilada batalionu. Prowadzi kapitan Ognisty. Chłopcy maszerują jak stara gwardia. Wzruszenie ogarnia mieszkańców, wielu ociera łzy, padają okrzyki i wiwaty.

Teraz beztrudni, rozegzaltowani do żywego tłum rozchodzą się na wszystkie strony, przelewa się przez wąskie uliczki i małe placiki, przez ciasne przejścia barykad, sięgających czasem pierwszego piętra, wstępują do sklepów, cukiernek i kandydów. Wszędzie widać buńczuczne miny, zawadiackie ruchy i roześmiane twarze i oczy. Biało-czerwone opaski z napisem A. K. lub A. L. migają na rękawach, orły srebrzą się na hełmach, błyszczą barwy broni, proporczyki ulańskie na kołnierzach. Każdy z tych młodych żołnierzy wolności chce szpientować się dyskretnie lśniącem „Stenem”, jak gdyby oksydowanym lub „Byskawicą”, czy nawet Bergmanem, zdobytym z szaleńczym ryzykiem w zuchwałej eskapadzie. Dziewczęta i chłopcy, opięci w łacie, zielono-szare pancerki, tygrysy i

żabki, polowe nakrycia esesmańskie przewijają się wszędzie. Noszą je tutaj ze specyficznym szykiem i fanabazą.

Tłumione życie przez pięć lat ciężkiej okupacji, buchnęło teraz nagle jęsnym gajzerem.

Staromiejska dzielnica zachłysnęła się wolnością i swobodą. Swobodne dźwięki radia płyną z okien. Słuchano dotychczas w tajemnicy i w największej ostrożności. Aparaty radiowe przechowywano mimo groźby śmierci. Tłumy skupiają się przy głośnikach ulicznych, oczekują sygnału rozpoznawczego audycyji radiowej z za granicy. Płyną słowa polskie. Każda taka audycja jest niezapomnianym przeżyciem. Słuchają jej chciwie, w jakiejś ekstazie, nie zawsze może rozumieją, co usłyszeli, gdy im wzruszenie zalewa serce i umysł. Nie orientują się w nazwach miejscowości, w szlakach bitewnych, ale pochłaniają te słowa, jak człowiek spragniony wody.

Szał zabawy i użycia, póki jeszcze czas, póki jeszcze można ogarnąć wielu mieszkańców. Piskliwe dźwięki harmonii, akordeonu i melodie skocznych przyspiewek w polce, w sztajerku z przytupem i z pohukiwaniami wyrwywają się z szeroko otwartych okien i drzwi restauracji. Kilka par wiruje na małej przestrzeni paru metrów. Młode przylatują pary znikają w ciemnych furtach, w długich mrocznych korytarzach i ciasnych podwórkach, w facjatkach. Dawno już tylu nietrzeźwych, podpiętych i zalanych w pestkę i w drobny mak nie widziały stare uliczki i latarnie. Bufety i stoliki wszystkich knajp i restauracji nie były tak dawno oblegane przez tłum natargowych i wesołych gości.

Wina i „wody” ile dusza zapagnie znaleźć w składkach i piwnicach niemieckich na Podwalu. Siedzą w kłębach sinego tytoniowego dymu, jedzą, rozprawiają o polityce, o najbliższej przeszłości i ostatnich wydarzeniach dnia. Góruje przeświadczenie, że burza nad Warszawą przejdzie szybko na zachód.

— Niemcy siedzą jakoś cicho. Jak to długo potrwa? — Przecież dali już znać o sobie. Artyleria odezwała się z praskiego brzegu i podziurawiła kamieniczkę na skarpie. Nadleciały samoloty, rzuciły bomby zapalające i fosforujące, ale je szybko ugasiły domowe komitety OPL-u.

— Ale nie tylko zapalające — zauważył ktoś inny. Kilka ciężkich bomb padło na teren Banku Polskiego. Zginęły cztery sanitariuszki, młode dziewczęta z batalionu Wojskowej Służby Ochrony Powstań: Elżbieta (Maria Zaunerowicz), Nina (Janina Chelmińska), Mariot (Aldona Brüner) i Grażyna (Halina Etmińska).

Właśnie chłopiec — powstaniec przybył z ratusza i opowiada co się tam dzieje. Powstańcy umieścili posterunek obserwacyjny na wieży zegarowej. Tworzyli go chłopcy z „Parasola”. Dowodził nim podchr. Krzysztof (Baczyński), z batalionu „Parasol”.

Tuż po południu ukazały się czolgi od Placu Piłsudskiego. Załoga dostrzegła powstańców na wieży i skierowała na nią lufy dział. Posłała salwa za salwą. Wieża drżała, chwiała się w posadach, sypała gruzem, dymiąc kurczem jak wulkan, ale trwała. Pociski zdruzgotwały schody. Kilku powstańców zostało odciętych na wierzchołku wieży. Wszyscy myśleli, że już po nich, lecz jakoś udało się im zejść.

Następnego dnia czolgi znów nadciągnęły na Plac Teatralny. Przywitały ich, geste strzały z okien ratusza i palacyku Blanka, lecz nie mogły im nic zrobić, bębniły po pancierzach.

Podchr. Krzysztof strzelał z okna narożnego, na pierwszym piętrze palacyku. Naraz zatoczył się, padł na dywan. Cała głowę miał zalana krwią, stracił przytomność, mówił coś o żonie i matce. Nadoblegi sanitariuszki, nie mogły już nic poradzić, stwierdziły śmierć. Zaniosły ciało do ratusza.

Wieczorem, gdy pierwsze gwiazdy weszły na wyblakłe niebo wyniesiono ciało na dziedziniec. Świeża wykopana ziemia lśniła się w blaskach świec. Gromadka powstańców ludności cywilnej otoczyła trumnę.

Ktoś powiedział kilka słów na pogrzebie, ciało złożono do ziemi, żonowano „Jeszcze Polska nie zgi-

nęła” i zasypano grób. Komendantka punktu sanitarnego zabrała dokumenty, aby je oddać rodzinie.

Tylko kilku jego przyjaciół zdawało sobie sprawę, że pochowali żołnierza — poetę, jednego z najlepiej się zapowiadającego i z najmłodszego pokolenia.

W kilka dni później czytaliśmy w „Biuletynie Informacyjnym” wezwanie: „żona Barbara proszę o wiadomości o podchorążym Krzysztofie Baczyńskim”. I zapewne nikt nie zdążył jej przynieść upragnionej wiadomości, bo i ona podążyła w krainę cieniów.

W szpitalu powstańczym, oddalonym zaledwie kilka ulic pełniła swoje obowiązki jako sanitariuszka, odtamek pocisku zerwał jej część czaszki. Walczyła ze śmiercią. Oczekiwała wciąż na wiadomości od męża. Chciano ją uratować. Towarzysze broni wspominają, że nikt z nich nie mógł wyjąć jej z dłoni: tomiku wierszy męża, wydanych konspiracyjnie i jej dedykowanych.

Po wojnie matka młodego poety długo szukała mogiły zagubionej wśród ruin, aż w 1947 roku znaleziono ją na terenie ratusza.

I wtedy przypomniały się nam słowa Baczyńskiego, pisane jakby w przecieczki swojej śmierci: „Wolam cię obcy człowieku, Co kości odkopiesz białe. Kiedy wystygną już boje, Szkielet mój będziesz miał w ręku Sztandar Ojczyzny mojej”.

I tak długo opowiadają, dzielą się wrażeniami. Mogą siedzieć, jak długo chcą. Godzina policyjna nie obowiązuje. Nie ma nakazu zamykania bram i gaszenia świateł. Nie słychać za oknami czarnych policyjnych bud, pedających z przejmującym rykiem syren przez ulicę. Czarne zbiry, z trupimi czaszkami i piszczelami na hełmach; kołnierzy nie wargna niespodziewanie z okrzykiem „Hände hoch!”. Nie obstapia cię nagle zielone, czy stalowe płaszcze, hełmy, nie zajrzą ci w szeroko rozwarte oczy lufy pistoletów żandarmów, dopatrujących się w każdym przechodniu bojowca.

To jest dopiero przedsmak wolności. Nie przerażaj twoich oczu nowa czerwien afisa na murach, z nazwiskami skazanych, rozstrzelanych, powieszonych lub wziętych jako zakładników.

To jest dopiero przedsmak wolności.

Tak to wszystko tutaj na Starówce wydaje się dziwne tym, którzy mieli przedsmak walki i kłeski, którzy jeszcze kilka godzin temu stali na cmentarzach: kalwińskim i ewangelickim i w największym ogniu, w gradzie pocisków, wśród burzonych i rozrzuconych grobów, rozszarpanych ciał nieboszczyków, którzy mieli w uszach świst pocisków i widok płonących, zgłiszcz rodzinnych domów i ulic.

Tutaj oddychali na Starym Mieście ożywym tchnieniem, rzucali się w wir zabawy i beztrudni. Póki jeszcze można, póki jeszcze czas. Ale coraz częściej mówiło się: teraz kolej na Starówkę.

\*\*

Powoli cichł gwar i szepc ludnych uliczek, zaułków i placików Starego Miasta. Miłki głośniki i dźwięki instrumentów, gasty światła w oknach kamieniczek i na facjatkach.

Cisza późnego letniego i pogodnego wieczoru. Czasem patrol powstańcy przejeżdża przez wąskie i senne zaułki, łączniczka przemknie, gubiąc odgłosy swoich kroków.

Przez otwarte okna słychać bicie staroświeckich zegarów. Ich metaliczne dźwięki spływają w granatową przestrzeń. Echo niesie ich uderzenia, całe bogactwo tonów i dźwięków. Pełne głębokiej powagi lub wielkiej radości, to znów jak gdyby bezbrzeżnego smutku i nieskończonej tęsknoty, niepewności i oczekiwania.

Mury pokryte są afiszami, na których młody powstańcy, w wzniesionych rękach dzierży krzepko biało-czerwony sztandar i karabin. Wola napisem „Do broni w szereżach Armii Krajowej”. Gdzie indziej spływa z murów czerwona farba kotwica — znak Polski Walczącej.

Królewska katedra otwarta na ścieżaj, jak w wielkie dni załoby narodowej, lecz w niej pusto i głucho.

Wysokie strzeliste łuki naw i białe marmury posągów starają się na próżno rozproszyć gęste mroki.

Wstępuję w jej progi z tym samym uczuciem bojaźni, jak w dzieciństwie, kiedy mnie matka wiodła za rękę. Stąpam cicho i niepewnie.

Kilka osób zapatrzonych w Chrystusa o twarzy umierającego człowieka, klęczy przy misternych kratkach.

Osnuwa Go legenda. Matka opowiadała mi ją w dzieciństwie. Przed wielu wiekami Jurga, albo inaczej Grzegorz Baryczka, sławny kupiec warszawski udał się do Norymbergi. Był to okres reformacji, gorących i zaciętych walk religijnych. Widział, jak rozbestwieni heretycy bezczęścili świątynie pańskie, profanowali: wizerunki i rozbijali posągi. Rozniecali wielkie stosy i na nich palił obrazy, święte księgi i cenne szaty liturgiczne.

Wielkiej rzeźbie ukrzyżowanego Chrystusa odrabiali ramiona i nogi i porzucili za murami miasta.

Owemu kupcowi, gdy spoczywał w gospodzie we śnie zjawia się jego świętobliwy przodek Marcin Baryczka. Każe mu odszukać Chrystusa i zabrać do Polski. Nie sprzeciwiał się. Zerwał się z łoża, Przetarł oczy ze snu, wezwał pachółków z pochodniami i poszedł, odnalazł Chrystusa, unurzanego w popiele i pokierszowanego okrutnie. Ze złości obmył Go winem, spowiół w płótno, włożył do kolasy i wniósł do ziemi polskiej. W drodze napadli go germańscy rozbójnicy. Lecz, gdy tylko dotknęli kolasy, w której był Chrystus uschły im ręce.

Baryczka po przybyciu do Warszawy wezwał Marcina z Pniewa, co najprzedniejszego i bogobojnego mistrza - snycerza, ucznia Wita Stwosza, aby dorobił odrabane części. Kiedy tej pracy dokonał, wniesiono uroczystie Chrystusa do świętojańskiej fary. Stolarz Białowąs miał Go przybić do krzyża. Razem z odgłosem uderzeń młotka ze stóp i rąk Chrystusa trysnęła żywa krew, a z oczu popłynęły łzy serdeczne, w nocy urosły tak bujne wędze, że trzeba było je postrzygać.

I snułym dalej tę legendę, gdyby mi duszę nie załata refleksja. Ci sami teutońscy zbrodniarze, wywodzący się z tej samej Norymbergi podnoszą rękę na moją stolicę, rozpinają ją na krzyżu, a z ran jej płynie żywa krew, a z oczu żyje.

Gdy tylko dotkną miejsca, gdzie jest Chrystus uschną im ręce. Tak przedziwnie bliska wydaje się mi ta staromiejska legenda. Wierzę w cud, modłę się o cud...

Czyż sam nie doświadczyłem go? Zdaję sobie sprawę, że jestem po stokroć niegodny, ale wierzę, że nie był to tylko traf, ślepy przypadek, czy zbieg okoliczności.

Ileż to razy czekałem na swoją kolej, ale śmierć zaglądała mi tylko w oczy, szczyrzyła zęby, podchodziła coraz bliżej — to znów oddalała się, wciąż słyssałem wokół siebie jej szyderczy śmiech. W ostatniej chwili, na kilka godzin przed wybuchem powstania zostałem w szaleńczo-zuchwałym przedsięwzięciu wyrwany z więzienia. Towarzyszy niedoli wyweklili z cel wściekili esesmani na podwórzu więziennym, kazali kopać groby, w które po tym salwami ich zwałali. Było ich ponad pięciuset.

Teraz klęczę i patrzę na głowę Chrystusa, w ciemnej koronie. Dziękuję za miłosierdzie i za łaskę, za swoje ocalenie. Modłę się za wasze dusze — towarzysze broni i przyjaciele serdeczne. Wasza śmierć jest moim życiem, wasza ofiara jest moim wybawieniem. Jak żywi stoicie mi przed oczyma, słysze wasze głosy, widzę wasze oczy. Nie mogę o Was nie myśleć. Cień Wasz nie odstępuje mnie.

Kapitan Bogdan (Kazimierz Batóg), mój 25-cioletni dowódca — smukły jak topola, spokojny, pewny i niezmierny, jeden z tych ludzi podziemia, których żadne kleski nie mogą załamać, którzy żyją tylko sprawą Niepodległości.

Któregoś dnia gestapowcy, następując mu na pięty, wpadli do domu, zmałtretowali jego matkę. Przystawaliśmy rozpacz z nim razem, pewnieśmy go na odprawie, że żaden z tych zbrodniarzy nie ujdzie żywy z naszych rąk, gdy on niespodziewanie podciął nam skrzydła. Słowami: — Polak nie spłami się ni-



## Czytelnik uważa że...

„Socialism is a tendency, not a revealed dogma”.

Mac Donald

„List otwarty do pana Juliusza Łady” Konstantego Lubińskiego (Nr 49-1948 „Dziś i Jutro”) podzielał na środowisko katolickie w Polsce jak kamień rzucony w mrowisko. Nawyki starego myślenia, opory wewnętrzne, kompleksy indywidualne i grupowe wydały cichy jęk i zaproteowały pokątnym wrzaniem. Nasłuchałem się tylu nieuzasadnionych zarzutów pod adresem Zespołu „Dziś i Jutro”, którego ideologię przedstawił p. Lubiński, że z przyjemnością powitałem jego trzystronicowe „wyjaśnienia” w Nr 2/49.

Jest rzeczą naturalną, że społeczeństwu opornie przychodzi uświadomienie sobie przemian zachodzących w rzeczywistości społecznej, politycznej, międzynarodowej, jeśli one naruszają stan rzeczy poprzestawany niemi uczuć, tradycji, nawyków. Są ludzie, którym trudno przyjąć postulatów ideowo - politycznych Zespołu „Dziś i Jutro”. Składa się na to nie tylko fakt, że marksizm będący tyranem socjalizmu jest w swych założeniach filozoficznych światopoglądem materialistycznym, a więc przeciwnym myśl. chrześcijańskiej, ale również stosunki między socjalizmem polskim a Kościołem, które ani w latach przed Pierwszą Wojną Światową, ani w okresie międzywojennym nie weszły na właściwą drogę obopólnego zrozumienia.

Ta ostatnia właśnie przyczyna skłania mnie do pisania tej marginesowej notki.

Tylko ludzie nie ogarniający w pełni istoty chrześcijaństwa sądzić mogą, że ta czy inna doktryna gospodarczo - polityczna, że ten czy ów typ cywilizacji grozić mu może zagładę lub przesądzać jego losy. Świadomy katolik pamiętać musi, że prawdy chrześcijaństwa mają być ponadczasowe, że jako prawdy absolutne będą istnieć i zwyciężać w każdym ustroju, w każdej cywilizacji. A przecież realizacja idei pełnego chrześcijaństwa w naszej dobie prowadzi do socjalistycznych rozwiązań ustrojowo społecznych. I na odwrót „wysiłek aby uwolnić człowieka i pracę od władzy pieniądza wywodzi się z prądów dostępnych dla świata przez wskazania Ewangelii, podobnie jak wysiłek zabiegający o uznanie praw osoby ludzkiej”, — zauważa J. Maritain. Socjalizm wyrósł z chrześcijaństwa. Saint Simon i Fourier wywodzą swe idee z religijnego stosunku do świata z chrześcijańskiego pojmowania życia. Saint Simon swoją wizję przyszłości nazwał „nowym chrześcijaństwem”. A Mickiewicz jeszcze widział, że „uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu”.

Socjalizm utopijny poprzez ekonomiczno - techniczny zwany naukowym, zataczając w czasie olbrzymi krąg powróci po latach do swych wyjściowych podstaw.

Takie jest oto katolickie wyznaczenie socjalizmu. Socjalizmu chrześcijańskiego.

Wielka Rewolucja Francuska burzyła nie tylko ancien régime, ale zarazem walczyła z Kościołem, pragnąc położyć kres chrześcijaństwu. Duch zwycięskiej burżuazji był antychrześcijański. Ateizm prekursorów Wielkiej Rewolucji i epoki liberalno - kapitalistycznej — jak zło rzucone do beczki dziejów świata — był tylko jednym z fermentów, które przyspieszają procesy historyczne. Ostatnie Wielka Rewolucja obdarzyła świat nie „pomysłem” filozoficznym encyklopedystów czy Robespiera, ale zbliżyła o krok dzieło Królestwa Bożego na ziemi, obdarzając ludzką ideą wolności wszystkich ludzi wobec prawa i w wielkim stopniu ją realizując.

Nowa rewolucja dokonywująca się w naszych czasach jest posuwaniem się ludzkości o krok następny na tej samej drodze. Stworzenie równości ekonomicznej w społeczeństwach i między narodami jest nie tylko koniecznością doby, ale trwałą wkładem w dzieje ludzkości.

L. T.

# Ostatni uśmiech Starego Miasta

(dokończenie ze str. 9-ej)

gdy krwią bezbronnych i jeńców. Zbrodnią za zbrodni nie można płacić, bo czym żeby się wówczas stał świat.

Bogdan choć jest zagrożony, nie wyjeżdża ze stolicy. Na własną prośbę pozostaje nadal, pracuje, zmienia pseudonim i wygląd zewnętrzny, stale nosi przy sobie broń. Gdy w tym czasie — Żuk (Dobroski), nasz dowódca, dostaje się na Pałac organizuje jego ucieczkę i wspaniale ją realizuje.

Ponury dzień 18 stycznia 1942 roku schodził w okupowanej Warszawie. Bogdan szedł na odprawę, wchodził do bramy domu, gdy zewsząd obkoczył go gestapowcy ostrzelując się biegnie chyłkiem dużymi krokami, nawet nie czuje, że jest ranny i krwią znaczy swoje ślady.

Naraz major Luftwaffe zastępuje mu drogę, zadaje Bogdanowi drugą ranę, lecz ten jednym strzałem rozwalając Niemcowi łep na strzępy. Biegnie dalej, napotyka grupę esesmanów, dwóch kładzie na miejscu położyłby resztkę, był przecież kilkakrotnie mistrzem Armii Polskiej w pięcioboju nowoczesnym. — ale zapewne już nie stało mu naboi.

Przez kilka niedziel na próżno oczekiwałem na Ciebie po nabożeństwie w kościełku na ulicy Moniuszki.

A kapitan Pachalski, stary żołnierz Rzeczypospolitej o krzaczastych brwiach i wąsach jak wiewchy. Pamiętam był dzień Narodzenia Najświętszej Panny Marii (8 września), opowiadał mi o wielkim odpuszczeniu w tym dniu na Jasnej Górze, w moim mieście rodzinnym. Naraz wszedł esesman i tak jak stał zabrał go z celi, a potem usłyszałem już tylko głuche salwy w murach ghetta.

Myśle o Was, młodzi chłopcy, którzy byliście karzącym ramieniem Polskiej Podziemnej. Dostaliście się w ręce Gestapo fatalnym przypadkiem na ślubie swojego towarzysza broni w kościele Św. Aleksandra.

Niespotykany widok był na podwórzu Pawiaka, gdy pod czerwonym murem znalazł się cały orszak ślubny i stał ze wzniesionymi rękami... Niejednokrotnie słuchałem w celi waszych opowiadań. Otrzymałście rozkaz sprzątnięcia SS grupenführera Krügera, krwawego zbira spod Wawelu.

Wiosna szaleje na plantach. Świeżo rozkwitłe drzewa i kwiaty niosą upojną woń. Rozpalone poranne słońce drga, jak srebrna łuska ryby. Główne zadanie przypada Tadeu-

szowi Batkowi (Dąbrowski), młodemu chłopcu, zuchwałemu do szaleństwa. Wytwornie ubrany spaceruje po ulicy z doniczką w ręku, w której ukryta jest przemyślnie bomba. Naprawdę oczekuje na Krügera od kilku dni.

I tego dnia decyduje się wściekle wracać do domu. Nic z tego. Na raz pada znak. Jedzie Krüger. Słońce tańczy na jego maszynie cudnej jak marzenie, czerwona chorągiewka ze swastyką splywa jak żywa krew, drażni jak emetyk.

Batek robi znak krzyża świętego w myśl powoli, spokojnie zstępuje z chodnika na jezdnię, gdy tuż przed nim miga otwarte szeroko auto z szeroko rozpartym dygnitarzem.

Batek rzuca pewnie niezawodnie doniczkę. Szofer dodaje gazu i jak wicher jesienny unosi ją sobą śmierć.

Batek pada na ziemię po chwili straszliwa eksplozja zatargała letnim porankiem, huczą strzały ostro. Niemcy wieją jak szaleni.

Batek najspokojniej idzie do domu, kładzie się na tapczanie i zaczyna czytać książkę i tego samego wieczoru wyjeżdża do stolicy, aby zameldować wykonanie zadania. Czy? mogę zapomnieć Ciebie kapitanie Stasiu Siedlecki?

Zamieć śnieżna hulała za kratami więziennymi, gwiazda wigilijna gdzieś zaginęła, siedział samotny w celi. Nagle ostry zgrzyt klucza w zamku zakłóca przejmującą ciszę. Strażnicy przyprowadzili Ciebie ze szpitala więziennego, boso, w białym, drążącym z zimna, abys czasem w tą cichą świętą noc Bożego Narodzenia nie został przez aniołów uprowadzony na wolność.

Po tym zapamiętałem małeńką chineczkę przyslaną przez Basię Seidlerównę, ale zaraz poprosiłeś, aby ją zgasić.

Po tym czytaliśmy gryps od Twojej córki Niuni. Małeństwo skreśliło do Ciebie pierwsze słowa w swoim życiu. Pamiętasz — pisała, że modli się o szczęśliwy powrót tatki. Myślałem wtedy, że modlitwa niewinnego dziecka „wszystko może wyprosić”.

Piszę to dla Ciebie, Niunio. Otrzymałście paczkę żywnościową od patronatu więziennego. Było tam trochę cukierków, pierników i pudełko marmelady.

Tatko Twój nie zjadał tego, przemyślał jakby to wam przelać... i przesyłał.

W kilka tygodni później wywiekli z celi na Sondergericht. Jaki

mógł zapisać wyrok nad polskim oficerem? — Śmierć:

Tego wiosennego dnia, więcej niż zwykle rozkwitła na dziedzińcu więziennym czerwonych maków, goź dzików i pelargonii.

Kapitan Siedlecki zginął w lasku na Palmirach, w miejscu poświęconym krwią męczenników najpiękniejszych ludzi naszego pokolenia.

I tyłu was, ginących od tortur, męczarni, bomb i kul na polu walki, w egzekucjach ulicznych, za drutami obozów... Nie raz zastanawiam się dlaczego ja żyję. Czy jestem niegodny, aby z Wami: ramie w ramie maszerować do wieczności?

Czy może po to, aby oglądać piekło za życia i dać świadectwo prawdzie.

Wychodzę powoli z katedry. Moje kroki roznosi echo, oczy zatrzymują się na białych posagach, nagrobkach, mających w mroku jak widma:

W pewnej chwili siwy wysoki i chudy pan o mądrej i szlachetnej twarzy wylania się z mroków uliczki. W ręku trzyma przy piersi czarny kapelusz, zaparty jest w żywy majestat i biały koronkowy fronton, w trójce wież królewskiej katedry, wystylizujących w ciemne niebo roziskrzony gwiazdam.

Pomyślałem sobie, jakiś oryginał, dziwak.

Kiedy przechodzi obok mnie odzywa się, jak do swojego dobrego znajomego.

— Tak mi coś mówi, że już długo nie będę oglądał mojego miasta rodzinnego.

Chcę się go napić i napatrzeć, aby nie było zapóźno. We wrześniu 1939 roku, gdy wstąpiłem pewnego dnia Zamku Królewskiego już nie ujrzałem.

— Chyba tak źle nie będzie — starałem się go pocieszyć, choć te same dręczyły mnie obawy. Przypominają mi się ruiny klasztoru Monte Casino, i wielu średniowiecznych miast angielskich.

Skrećmy ze Świętojańskiej na Dziekanę. Przedziwna cisza letniego wieczoru. Żaden głos nie zakłóca jej, nawet powiew wiatru nie porusza liściem bluszczu, odulającego renesansowe ściany.

Wysoko po granatowym niebie płyną ciemne chmury, przesłaniając na chwilę gwiazdy.

Dochożymy do Kanonii, Małeńki prześlizgnij placę za katedrą. Do stołone kamieniczki kanoników katedralnych patrzają na siebie platynowymi oczami okien. Golebie śpią na gzymsach, zwrócone do siebie dziobkami.

W tej kamienicy po Staszycowej znajdowało się tusculum poetyckie Wiktora Gomulickiego, a w późniejszych latach Artura Oppmana, poety polskiego mieszczaństwa i piewcy staromiejskiej dzielnicy.

Idziemy powoli dalej, meteor spada powoli z nieba, pozostawiając za sobą świecąca smugę. Ciemne chmury ki płyną teraz powoli, po drodze usiane gwiazdami, jak łódzie wśród renufarów.

Myślę o tym ludzie staromiejskim. Mam przeświadczenie, że będzie się bronił. Posiada wspaniałe tradycje powstańcze, troskliwie tutaj pielęgnowane i przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Tu mieszkał najwierniejszy i hardy lud Rzeczypospolitej. Przed samą insurekcją kościuszkowską wzbuchają zaburzenia wśród mieszkańców staromiejskiej dzielnicy. Szykują się do krwawej rozprawy z najeźdźcą. Książę Repnin wzywa do siebie Jana Kilińskiego, sławnego mistrza szewskiego i nieoficjalnego wodza ludu. Wszyscy drżą przed potęgą przemożnego ambasadora carowej: król Stanisław August Poniatowski, na zamku, magnaci w pałacach, książę-prymas, hetmani, senatorzy i kasztelanie, Kiliński staje przed nim spokojny i pewny. Książę ambasador zdumiał się i zapytał?

— Świadom jesteś tylko z kim masz do czynienia?

Kiliński milczał. Przez wargi przebiegał mu ironiczny uśmiech.

— Widzisz te moje gwiazdy... to moje ordery, wstęgi, ten galowy mundur carski, patrz tylko i drżysz.

— Panie — codziem widzę tysiące gwiazd na niebie i nie drżę.

W pewnej chwili ów starszy pan, mój przygodny towarzysz nocnej wędrowki, powiada do mnie:

— Przed kilku miesiącami spotkałem w rynku artystę - malarza. Może Pan o nim coś słyszał? Edward Okun. Po stronie Dekerta w swojej kamieniczce ma swoją pracownię. Bohemjanin — dziwak. Obrazy jego odznaczają się wielką kulturą. Widziałem, że zajmuje się zjawiskami kosmicznymi, dostrzega pewne przemiany. Staje się wrażliwy na to, co może nastąpić.

— To ciekawe. Jak on to robi?

— Spogląda na plan stolicy, czyni ruch ręką, zapada w jakiś stan. Któregoś dnia mówi do mnie, że widzi jakieś ciemne plamy nad Solcem. Tam zawisło niebezpieczeństwo. W kilka dni później rzeczywistość dowiedziała się, że gestapowcy wykryli na Solcu tajne zakłady wydawnicze, zbudowane pod ziemią. Przybyli nagle. Pracownicy nie mogli już ratować się ucieczką, bronili się. W końcu zatopiono ich wodą. Ustosunkowaliśmy się do jego przepowiedni z dużą wiarą.

Któregoś dnia spotykam go obok kamienicy „Pod murzynkiem” i zapytuje co czeka nasza stolica? Tam nad Okęciem, Wołą, Kołem i Powązkami — mówi wiszą czarne i ciężkie chmury, z tamąd musicie uchodzić, śmiertelne niebezpieczeństwo czyha nad każdym... Teraz chmury zatrzymały się nad Starym Miastem, nakrywały się, opadają na spietrone dachy, płyną nad Powiślem, Sadybą i Mokotowem.

Radziliśmy nam poszukać sobie mieszkania w Śródmieściu — tam najjaśniejsze.

— Gdzie znajduje się ten dziwny człowiek? — zapytuje.

— Któregoś dnia przechodził ulicą. Była łapanka. Wywieziono go na roboty, zdaje się do Düsseldorfu.

— Doprawdy dziwne. Wiele przepowiedniał, ostrzegał innych, wielu uratował, a w końcu sam wpadł.

— Tak w życiu bywa, są rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło. Któregoś dnia przyszedł do mnie — widocznie coś złamiennego zaobserwował. Chciał się konieczności widzieć ze mną, podzielić wrażeniami, ale mnie nie zastał w domu.

I nagle ów starszy pan pożegnał mnie, staniając się jak nieprzytomny oddalił się, znikł w tych starych murach jak zjawia senna.

Więc te słowa miałyby się sprawdzić na moim mieście?

Leszcz.

Stanisław Podlewski

## F I L M

HARRY SMITH ODKRYWA

AMERYKĘ w/g sztuki Simonowa „Zagadnienie Rosyjskie”. Scenariusz i reżyseria Michał Romm. Muzyka A. Chaczaturian. Produkcja: „Mosfilm”, opracowanie i eksploatacja „Film Polski”.

Film ten jest oparty na znanej w Polsce i granej już sztuce Simonowa. Temat bardzo szeroki i pozostawiający wielkie pole do popisu zarówno scenarzyście, jak i reżyserowi otwiera możliwości wszechstronnego oświetlenia problemów społecznych i ideologicznych, stworzenia obrazu o wielkich zaletach filmowych, uwytklenia atmosfery środowiska i oddania psychiki jednostek wchodzących w jego skład.

Sztuka z konieczności musiała ograniczyć się w szczypty ramach sceny, przerzucić cały ciężar akcji na słowo. Michał Romm poszedł w opracowaniu filmu w ślad za Simonowem, nie wniósł nowego ujęcia, sfilmował sztukę. W rezultacie powstał film, który nie spełnia swego zadania tak jak powinien. Sztuka przekonuje silniej, jej „teatralność” jest jej plusem, często operowanie słowem jest zrozumiałe — w filmie denerwuje.

Akcja „Harry Smitha” zasadniczo

rozwiąza się w trzech miejscach: w jego domu, barze w którym spotykają się dziennikarze i biurowe Mac Phersona. Amerykę poznajemy tylko tutaj. Jedyne ożywienie i szersze spojrzenie wnosi montaż początkowy. Jako argument w postępowaniu, w oddaniu przeżyć bohatera, jego psychiki reakcji i sądów na plan pierwszy zamiast obrazu wybija się słowo, zagłusza wymowę sytuacji, logikę zdarzeń. Do ostatniej chwili nie wiemy co widział Harry Smith w Związku Radzieckim — gdy wspomina on swój pobyt, na ekran zamiast wielkiego montażu i wykorzystania tego momentu dla ułplastywienia kontrastu U. S. A. — Związek Radziecki, reżyser puszcza jedynie kilka migawkowych zdjęć. Fotografia operuje prostą i monotonna kompozycją klatki filmowej. W zdjęciach w samochodzie widoczna „rear projection”. Na podkreślenie zasługuje oprawa muzyczna.

W filmie tego rodzaju wielką rolę odgrywa zrozumienie akcji — dialog, intonacja słów. „Harry Smith” wszedł na nasze ekrany w polskim dubbingu. Być może, że tu właśnie leży punkt ciężkości, że w oryginalnej wersji aktorzy nie używają jednolitej podniesionej głosu, że dialog oryginalny posiada odcinienie znaczeniowe trudne, czy bądź nie możliwe do przetłumaczenia. Wśród

przedstawionych postaci najbardziej raziąca wydaje się Jessie (pisownia według programu) pełna sztywności (sceny w aucie), sztuczności (scena rozstania) i „wampowości” („gra” powiekami). Oddychamy z ulgą gdy wreszcie opuszcza Harry Smitha.

Leon Kallenbergh w „Gazecie Filmowej” (Nr 13) w artykule p. t. „Filmowa wiedza krytyczna”, pisząc o klasie estetyki formalnej i właściwych kryteriach oceny stwierdza: „Przy obiorze tematu jako zasadniczego elementu oceny całego dzieła sztuki filmowej musi być odwołana całkowicie sprawa krytyki fragmentarycznej. Obowiązująca powinna krytyczna postawa wobec całości utworu kinematograficznego. Całość ta bowiem jest logicznym wynikiem tematu. Jest jego rozpracowaniem techniczno - artystycznym, gdy sam temat opiera się na przesłankach określonej ideologii, omawiając dalej stosunek do filmów radzieckich pisze: „Recenzja filmowa w zetknięciu z filmami radzieckimi rzadko zdobyła się na ocenę. Po prostu wolała zachwyty wyrażony spietrzonymi przymiotnikami”.

Film „Harry Smith odkrywa Amerykę” zdobył nagrodę pokoju. Zdobyl ją niewątpliwie za wartość ideową. Ale postawmy pytanie czy tego rodzaju film spełnia swoje zadanie